



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.
Nr 880

leg. 416

Lipiniński Kacław
na polu siewu światowej wojny.
(1917-1918)

Wycinki z Kurjera Warsz. 1933, brak odcina 13 i końca.



Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

I.

PO ROZBICIU LEGJONÓW

Lipiec 1917 roku. Od dwu tygodni jestem w Krakowie. Miasto sennie, ciche, rozprażone słońcem ulice i domy wydają się w godzinach południowych prawie martwe; rzadcy przechodnie snują się leniwie po zacienionych stronach. Większy panuje ruch na plantach, ławki obsadzone gęsto; przeważają zielonkawe - siwe mundury. Urlopnicy, rekonwalescenci, zwolnieni, inwalidzi c. i k. armji austriackiej. Każdy pozatem cywil ma jakąś na sobie część munduru. Albo spodnie, albo kurtkę. Wojna pochłonięła tu prawie wszystkich, mało kto wyrwać, wydostać się zdołał z jej niszczących, złych, nienawistnych teraz objęć.

Mieszkam w Rynku Głównym, w „Szarej“ słynnej kamienicy krakowskiej. Gdy jestem w swoim pokoju, gdy słońce powoli pochyla się ku zachodowi, a wieże Marjackie coraz bardziej poczynają krwawić czerwienią, gdy ruch całodzienny jeszcze bardziej poczyną przycichać — donośniej, czystiej, srebrzystej brzmią tony hejnału z wieży. Idą długo na cztery strony świata i zdaje mi się, że coraz częściej w nucie hejnału dostrzegam żalostny, bolesny głos niekończącej się męki. Czy jeszcze długo, jak długo jeszcze, czy nadzieja znikąd radosnym krokiem ku staremu miastu nie pośpieszy...

Wojna trwa. W mieście roi się teraz od legionów, przeważa I i III brygada, jest tutaj mnóstwo zwolnionych po przysiędze oficerów. Wszystko to godzinami przesiaduje u Michalika, zbiega się tam z nowinami, radzi, zmawia, wzajem się podtrzymuje. Ciężkie chwile, ciężkie dni, rzadko śmiech zagości na twarzach żołnierskich.

Dni odmowy przysięgi zastały mnie już tutaj, w Krakowie. Kiedy dzienniki doniosły o wywiezieniu wszystkich królewaków do Szczypiorna, kiedy rozpoczęła się tragedia obozów jeńców — chciałem natychmiast rzucić wszystko, rzucić książki, pracę, w której szukać poczyneć ucieczki od złych wieści, jakie z dnia na dzień gonili, jedna za drugą — wstrzymał mnie jednak jakiś samozachowawczy instynkt, choć poczucie spójności i solidarności pchały do Szczypiorna. Zostańcież — powiada mi Gad - Dobrodzicki — nie mogą wszyscy być w obozach. Kto może, kogo nie zastała przysięga w pułku, niech dekuje się w kraju. Roboty będzie aż nadto, tu i wszędzie indziej...

Siedzieliśmy u Michalika w trójkę. Gad - Dobrodzicki, Heniek Flojar i ja. Flojar wpadł tu wprost z gór, z Zakopanego, jeszcze dyszał mocnym, górskim powietrzem, oddychał pełnią swobody, jakże rozkosznej po okropnych, czerwonych murach koszar w Rożanach, przesiąkniętych odra-

żającym, nieznosnym zapachem wędzonych ryb, którymi nas Niemcy ostatnio karmili i okropnym zapachem karbidowych lamp. Flojar jest opalony, szerniały, trudno mu się jeszcze pogodzić, że tak nagle, tak na bardzo złe wszystko się naraz obróciło. Gad jest spokojny, klaruje sytuację, czerni ją może nawet rozmyślnie, by się cieszyć naszą reakcją. Każdy z nas drży wewnętrznie, ale każdy się sili na spokój, na przetrwanie.

Sytuacja zaś tak się przedstawia: Beseler, po aresztowaniu przed trzema dniami Komendanta i szefa Sosnkowskiego — motywuje swój krok tem, iż Piłsudski był głową opozycji i ruchu przeciwniemieckiego, duszą zakonspirowanej Polskiej Organizacji Wojskowej, którą zbroił i przygotowywał przeciwko Niemcom. Rada Stanu ze słowami ubolewania przyjęła wyjaśnienia Beselera do wiadomości, wstawia się nawet za Komendantem. Beseler opiera się na opinii Ligi Państwowości Polskiej, na centrum, na artykułach „Godziny“ i „Głosu“, powiadając cynicznie, iż patrioci polscy sami się aresztowania Piłsudskiego dopominali. Jest w tem o tyle prawda, że faktycznie ostatnio L. P. P. rozwinęła przeciwko Komendantowi ohydłą kampanję, zarzucając Piłsudskiemu zdradę, pomawiając o przechylenie się ku rewolucyjnej Rosji całego obozu Komendanta. Niemcy tedy, po aresztowaniu Piłsudskiego i Sosnkowskiego przymknęli Sławkę, Downarowicza, Sieroszewskiego, przerprowadzając gwałtowne rewizje i aresztowania w całym kraju, który reaguje bardzo słabo, prawie wcale. W Warszawie przyszło podobno wczoraj do awantur, wybito szyby w „Głosie“, „Godzinie“ i „Gońcu“, również i w

Krakowie urządzono demonstrację, zaś Koło Polskie w Wiedniu wnieść ma ostrą interpelację. Nic to jednak nie wskóra, chociaż trzeba aż się niemieckie siły kruszyć zacząć coraz bardziej, aż ich wygniotą i wyduszą na zachodzie. Na ten moment my się musimy szykować, nie wolno nam załamywać rąk. Bez Komendanta musimy pokazać, że dobrymi jego jesteśmy uczniami...

Gad nie mówił tego ani odrazu, ani w takie słowa ubierał. Z oderwanych zdań, z choler, draństw, łajdactw i tępienia, więcej z ruchów rąk i gwałtownego czasami uścisku ramienia — wyrozumieć należało, jak się sytuacja ułożyła i co należy robić, jakie są perspektywy...

Tymczasem Niemcy i austriackie trepy tłuką i grzmocą resztki rosyjskich wojsk. Odebrano dzisiaj Stanisławów, Nadwornę, Tarnopol — po trzech latach pchają się tam z wątpliwym triumfem sakramentkie trepy, którym się zdaje, że wreszcie zaczynają wygrywać wielką, światową wojnę. Rosja zaś zrewolucjonizowana, osłabiona, zawrze z nimi dla świętego spokoju za dwa, trzy miesiące pokój i od tego dnia rozpoczną się ostatnie dni wojny. Musi jednak dojść mimo wszystko do rewolucji w Niemczech i Austrii. Grozi to ciągle w Niemczech, nieustanne są tam głodowe awantury, austriacka cenzura puszcza te wiadomości, może dlatego, by swoim obywatelom pokazać, jak gdzieindziej również jest źle. Musi i tam i tu w Austrii dojść do rewolucyjnego mętliku, a wówczas my będziemy mogli pokazać nasze pazury.

(D. c. n.),

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Jest wieczór, godzina dziesiąta... W tej chwili ostatni, jękliwy głos dzwonu zamilkł i w ciemnym powietrzu drżą srebrne, czyste tony hejnału. Byłem dzisiaj w redakcji „Naprzodu“ ze sprawą odezwy „piątków“, którą chłopcy napisali w pociągu, a którą P. P. S. łódzka drukując, ordynarnie poprzerabiała na swoje kopyto.

Flojar jeszcze niezdecydowany, w Warszawie postanowił, co ze sobą robić. Ja zostaję. Gład nadzi mi, by się przez szpital krakowski i przez odpowiednie stosunki, jakie mi da, całkiem formalnie zwolnić przez superrewizję. Narazie nic nie robić, siedzieć dalej przy krakowskiej, legjonowej stacji zbornej, w której jestem teraz ewidencji. Jest tam zresztą sporo naszych, brygadowych chłopców z sierżantem Podworskim, którzy ułatwiają, jak mogą. A mogą wiele, bo wiadomo, że na stacjach zbórnych rządzą nie oficerowie a sierżanci.

Czwartek, 26 lipiec. — Wypadki mkną z błyskawiczną szybkością... Rozniosła się dzisiaj pod wieczór wieść w Stacji Zbornej na ulicy Rajskiej, że Beseler zabity... Gdy mi Wandycz to na ulicy powiedział, aż tchu mi brakło...

Wczorajsze moje przeczucia zaczynają się tedy sprawdzać. Bijemy, jesteśmy... Teraz trzeba, by wykonano postane już wyro-

ki Sikorskiemu, Januszajtisowi, Zagórskiemu i kilku innym. Jeszcze wczoraj w nocy, gdy p.zestałem pisać, gdy ogarnęła mnie fala ciężkiego przygnębienia, że Komendanta niema, że daleko jest od nas sierot — wołałem prawie w rozpacz, w modlitwie do Dziadka, do Komendanta: Czemu Ty nie każesz nam jednego wieczoru wywieść śmiecia z Polski, czemu nie pozwoliś porządku zrobić?... — I oto jako odpowiedź na aresztowanie Komendanta, zabijają dziś Beselera. Jakikolwiek to skutek będzie miało — dobrze się stało, zaczną się teraz dranie z nami liczyć...

Jedna tylko struchlała myśl, jedna obawa straszliwa, by się Komendantowi co złego przez to nie stało, by on tego sobą nie przypłacił... Straszliwy, mrozący w żyłach krew — strach...

Piszę znów, jak codzień wieczorem w swym pokoiku. Cisza wokół zupełna, z Rynku przez wysokie mury nie dochodzi żaden prawie głos. Trapi mnie niepewność, jakiego Niemcy chwycą się teraz środka represyjnego i czy się go wogóle chwycą. Na wschodzie ofensywa ich postępuje, jak na złość, doskonale: wzięty Tarnopol, Buczacz, Otyńja, Delatyn. Rozprężone, rozbite własną dezorganizacją armie rosyjskie cofają się z dnia na dzień coraz bardziej, lecz już Anglicy pod trzydniowym ogniem

huraganowym trzymają front flandryjski. Ma tam nastąpić bitwa, o jakiej dotąd pojęcia nikt nie miał. Przerzucą więc Niemcy znów siły swoje na zachód, by łatać, by powstrzymać napór. Spekany na wszystkich boki garnek. Gdzie jedną dziurę zatkają, z drugiej cieknie, a tu u nas zaczynają się dla nich nowe, nieprzyjemne kłopoty. Wojsk swoich przecie z racji angielskiej ofensywy nie będą mogli w Królestwie trzymać, a po ostatnim wzburzeniu, po ostatnim wypadku — mowy nie będzie o spokojnym przebiegu rekwizycji przy żniwach. Co zważywszy, sądzić należy, że Niemcy absolutnie nie będą mogli pójść na represję, z obawy zupełnej na ich tyłach anarchii. Zawsze tradycja polskich powstań swoje robi. Te wszystkie przesłanki osłabiają możliwość zemsty na Komendancie...

Szukam gorączkowo wszystkiego, co by osłabić mogło to przypuszczenie, choć z drugiej strony krzyżacka, okrutna natura preraża mnie do głębi. Ale nie, nie, nie — to niemożliwe...

Biję się z myślami, waham się w ciągłej rozterce, czy pragnąć potwierdzenia wiadomości o zabiciu Beselera — czy nie? Czy to pociągnie za sobą zemstę na Komendancie — czy odwrotnie, może właśnie na nich padnie strach i oni się przelęką. Na pozycji, na froncie takżeśmy się przyzwyczaili do świętości i nietykalności Komendanta, że z trudem, z szalonym oporem przychodzi teraz myśl, że może mu coś złego się stać, że cośkolwiek może mu grozić. Ciężko. Tak, ciężko, jakby kto głowę dragiem mi zwał, chwilami mam wrażenie, że tra-

cę przytomność. Ale przecież to niemożliwe, nie odważą się...

Piątek, 26 lipiec. — Wiadomość o Beselerze okazała się plotką. Centrala skandalicznie tłucze Moskali. Zajęta Kołomyja, Czortków, Trembowla... Moskale cofają się na linię Zbrucza i, zdaje się, oddadzą całą Bukowinę. Tam, wedle moich przypuszczeń, wojska państw centralnych staną, nie dlatego, że Moskale ich zatrzymają, bo jest to już dzisiaj zdemoralizowana banda, ale dlatego, że Anglicy od kilkunastu dni biją we Flandrii huraganowym ogniem, więc już Niemcy tam gnają. Austriacy zaś sami рады Moskałom nie dadzą, choćby nie wiem, jak łatwo tam było. Jedyna teraz tylko nadzieja, by we Flandrii Anglicy przełamali Niemiaszkom front, żeby na miły Bóg wreszcie im rura cośkolwiek zmiękła...

O przysiedze w Krakowie jeszcze jakoś nic się nie mówi i, zdaje się, że nic nie dojdzie do skutku, choćby dlatego, że wedle „Naprzodu“, komenda legjonów podaje się do dymisji. A było już tak o przysiedze głośno, że byłem spakowany i chciałem wiać do Łodzi. A'bo się tam na Szczypiornę zdecyduję, choć nie miałoby to najmniejszego sensu, albo jakoś przy pomocy Bożej w kącie gdzieś przywaruję.

Flojar nie przyjeżdża z Wiednia, dokąd na krótko pojechał. Czyżby wprost wywił do Warszawy? Nie mam się z kim bliskim podzielić myślami, trudno mi się zdecydować, co zrobić, jak tu w Krakowie wyjadą z przysięgą i zażądają jej od królewików.

(D. c. n.).

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Sobota, 28 lipiec. — Wydrukowali mi dziś w „Naprzodzie“ ostatnią część Kojstuchnowki. Dałem im z dziennika, bez zmian, tak jak pisałem w Czeremosznie i jak mi się zdaje, wcale niezłe w druku wyszło. Orkan czytał ją z wielkiem zajęciem i naśmiewał się dzisiaj dobrotliwie, kiedyśmy siedzieli w Esplanadzie, że odwrót na Stochód to trochę opisałem, jak w „Dumie o hetmanie“. Ma rację, ale cóż ja na to poradzę, że w każdym z nas tak mocno siedzi Żeromski.

Moskali tłuką dalej. Czerniowce prawdopodobnie jutro wpadną w ręce „Awstryj-ców“. Wątpię, żeby trepy miały zamiar pchać się dalej na Ukrainę i Besarabję. Gdyby nie angielska ofensywa, to napewno by tak było.

Dostałem list z Łodzi. Fichnę i kilku innych, których trzasnęli Niemcy przed tygodniem — szczęśliwie wypuszczono. Może na wabia tylko...

Niedziela, 29 lipiec. — Rano przyjechał Flojar. Jedzie do Warszawy, wywie się co tam słyhać i wraca.

Porządek, 30 lipiec. — Złe myśli, które dziś znów mię ogarnęły — prysły momentalnie, jakby je wichur porwał i zdławił, gdy zatonałem w słowa Żeromskiego, w przepyszną, jaką on tylko może dać mo-

wie, we „Wszystkiem i Nic“, Popiołów — sprawie drugiej. Czytałem Żeromskiego nie tylko ze ściśniętym sercem i obolałą duszą, bo ciężkie jego słowa większego nabierają dzisiaj ciężaru, ale chwilami wprost z fizycznym bólem. Znowu przecież musimy przejść do skrytej, podziemnej walki, do całej, z nią związanej, bolesnej niedoli, *gdy przecież tak jeszcze niedawno w jasnym dniu, w blaskach słońca mogliśmy być na froncie dumnymi, zuchwale każdemu w oczy patrzącymi żołnierzami, których każdy musiał szanować. Takeśmy zhar-dzieli, tak zdumieli, tak czuliśmy w pier-siach własnych całą dumę Polski, dumę po raz pierwszy od tylu lat śmiało czoło swe podnoszącą, że mroczny dzień niewolnika przeraża nas, a powrót doń — wprost za-bija.

Żeromski, pisarz polskiego cierpienia, teraz zwłaszcza w tych słowach ostatniej książki — jakże dostraja się do tego, co przeżywamy. Jeśli między postaciami dzisiejszemi szukam człowieka, którego mógłbym na jednej wyżynie, na jednym poziomie najgłębszego odczuwania Polski razem z Żeromskim postawić — to jedynie jest nim Komendant. Dziwnie kojarzy, łączy i zlewa mi się obraz duchowy dwu tych ludzi. Mam wrażenie, że jak Komendant

3)

przenikliwym rozumem swym i potęgą duszy widzi nie tylko ból i łzy polskie, ale przedewszystkiem siłę, jaką można z polskiego bólu wydobyć — tak Żeromski widzi i odczuwa sam tylko ból rzeczywistości. Cierpieć jednak muszą nad nią jednako.

Środa, 1 sierpień. — Odprowadziłem dzisiaj Flojara na dworzec. Jedzie do Warszawy, do pułku i możliwe, że do Szczypiorna, choć ciągle jest tak samo niezdecydowany, jak i ja. Szamocemy się nie tylko my dwaj, jest takich cała tutaj gromada. Z jednej strony trzeźwy rachunek powiada jasno, że osłabimy tylko wewnętrzne siły, które trzeba poza obozami zbierać, z drugiej — trudno się pogodzić z tem, że oderwało się od swej kolumny. Siła solidarności i wspólnoty jest tak przyniatająca, że mimo wszelkie logiczne rozumowania, czujemy się, jak dezterterzy.

Dałem Henkowi list do Pułtusza, do p. Niedziałkowskiej.

Czwartek, 2 sierpień. — Od kilku dni panują niesamowite upały, z nieba leci meksykański żar, w słońcu temperatura przekracza czterdzieści stopni. Dzisiaj rano w Mogile wyleciały w powietrze dwa magazyny prochowni. Jubel dla p. t. andrów krakowskich niebawem, gdyż prąd powietrza powygniatał mnóstwo wystawowych szyb w sklepach.

Przed południem poszedłem do Gada - Dobrodzieckiego, gdyż wątpliwości co do Szczypiorna nie dają mi spokoju. Zwymyślał, wykpił mnie, i ostatecznie nastawiając się na surowy ton, wydał mi rozkaz pozostania na miejscu.

Taka jest dyrektywa płk. Smiętego, niema co jej roztrząsać...

Przyznam się, że jak kamień spadł rozkaz. Jak „befehl“ — to „befehl“, a rozkaz, to szabla — mawiały przecież dębinioksi. Zostaje więc, przestaje się wreszcie męczyć.

Sobota, 3 sierpień. — Wycygałem wczoraj w legionowej stacji zbornoj jakiś, podejrzaney wartości dokument podróży i przyjechałem dziś do Łodzi, by w związku z decyzją zostania w Krakowie, przygotować sobie szatki cywilne i wogóle obgadać mój pobyt.

W domu ruch, jak przed wyjazdem na biegun. W związku ze Szczypiornem — dom znów stał się bazą operacyjną legionów. Ciągłe ich pełno, jedni już „wyrwają“ ze Szczypiorna, inni się meldują, ciągle maskarada z cywila na żołnierza i odwrotnie, Zocha już fabrykuje paszporty — jednym słowem, ruch na całego.

Poniedziałek, 6 sierpień. — Dżdżysty, mglisty, szary dzień w Krakowie, do którego dzisiaj wróciłem. Pełno policjantów pieszych i konnych włóczy się po wszystkich ulicach, by nie dopuścić do manifestacji i zbierania się tłumów przed ratuszem, gdzie obraduje Koło Polskie.

Dzisiaj rocznica wymarszu kadrówki. Miast rozkazu Komendanta, który w trzecią rocznicę swego wyruszenia tak daleko jest od swoich żołnierzy — wyszedł rozkaz Śmiegi, ostatni rozkaz przed odejściem do armji austriackiej.

(D. c. n.).

(D. c. n.).

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Śmigły, w najważniejszej części rozkazu swego, mówi o naszym honorze. Wiemy, co to znaczy, jak to rozumieć. „Polska wam nadała, żołnierzy, indygenat — mówią słowa rozkazu — i poleciła go pieczy waszego honoru. W ciężkich kryzysach honor ten był wam niejednokrotnie jedyną busolą. Ten honor utrzymać zawsze nam wolno i prawa do tego nikt nam zabronić nie może, jak nikt nie potrafił wzbronić prawa do umierania na polu bitwy. On nam starczył przez trzy lata za sztandar, był nam głosem woli Narodu, nikomu nie pozwoliliśmy go sobie wydrzeć...” I nie pozwolimy.

Widziałem dzisiaj Roję, już w ubraniu cywilnem. Berbecki z komendy legionów odszedł, Zagórski znów został szefem sztabu. Łajdaki podnoszą głowę, bo Komendant faleko, czują się tedy bezpieczni. W związku z Zagórskim łączą teraz kandydaturę generała Rozwadowskiego na dowódcę legionów, co znów oznacza wzrost austriackich wpływów na resztki legionów.

Poniedziałek, 13 sierpień. — Nie pisałem dziennika w ostatnich dniach, gdyż nic ważnego się nie działo. Dzisiaj przyjechał Flojar. Do Szczypiorna nie jedzie. W Warszawie ciężko usiedzieć, na okupacji niemieckiej też trudno się do czegoś przyczepić, wobec tego chce skorzystać z propozycji wsiąknięcia na okupacji austriackiej lub przydekania w Krakowie. W nastroju przyjechał podłym, wiadomości, jakie ma, nie wróżą narazie, by się Niemcom miała powinąć noga na zachodzie, tak jak my sobie tego zbożnie życzymy. Jest źle, niemal rozpaczliwie. Niemcy szalenie wzrosli w pychę po ofensywie galicyjskiej, tem bardziej, że i we Flandrii stoją nad podziw mocno. A przecie pewną jest sprawą zupełnie, że póki oni nie będą tam pobici i to dobrze pobici — nasze „domowe“, polskie sprawy ani rusz poprawić się nie będą mogły.

Wtorek, 14 sierpień. — Miałem dzisiaj w „Kulturze“ na Florjańskiej dłuższą rozmowę z p. Moraczewską, z którą polecił

mi Gad omówić sprawę przyczepienia się w Krakowie do jakiejś posady, abym mógł swobodniej się urządzić. Ustaliliśmy z Moraczewską, że jak długo można, niechaj tkwię w mundurze na wikcie i opierunku legionowej stacji zbornej, a tymczasem coś się wykombinuje, jakąś posadę znajdzie.

Wieczorem odbyło się w „Kulturze“ nie wielkie zebranie polityczne, na którym referował sytuację por. dr. Szymanowski, starszy już człowiek, lekarz, homo nadwyczaj sympatyczny. Szymanowski referował, że Rada Stanu została haniebnie przez Niemców nabrana, jak również i ci, którzy tyle nadziei pokładali na tworzący się w Warszawie rząd polski, czem karmiła ich zwłaszcza komenda legionów i jej genjalni politycy. Zabierał głos również i Tytus Filipowicz, odbarwiając nieco ciemne kolory przemówienia Szymanowskiego. Od niego dowiedzieliśmy się, że wyszedł już rozkaz, przenoszący na okupację austriacką 2 i 3 pułki i resztę oddziałów, które zostały przy komendzie legionów.

Czwartek, 16 sierpień. — Komenda legionów zaczęła partjami zwalniać oficerów galileuszy, wedle kolejności dymisyjnych podań. Pono oficerowie nie wyjeżdżają, odmawiając komendzie posłuszeństwa. Wszyscy razem — albo nikt.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

II.

UCIECZKA W GÓRY

Wtorek, 28 sierpień. — Piszę po tygodniowej przerwie, po tygodniowej niebytności w Krakowie. Jest blisko północ, za chwilę przez otwarte okno, w cichem, nagrzanem jeszcze po upalnym dniu powietrzu — rozlegną się i długo będą drzeć wśród starych murów tony marjackiego hejnału. Jest cisza zupełna, od czasu do czasu doleci stłumiony pogłos kopyt konskich, przejeżdżającego przez Rynek, krakowskiego „fiakra”.

Piszę powoli, by się trochę uspokoić, by się uciszyć. Po złej nocy w drodze, po jakimś widocznie „zawianiu” w wagonie kolejowym — boli mnie głowa, jestem trochę rozpalony i szybko, dużo za szybko goni jedna myśl za drugą, jak migocące nerwowo sygnały światła wśród czarnej nocy, sygnały do kogoś się spieszące. Najlepiej tedy drobnym maczkiem układać wąskie, równe ~~z~~ zapisanych wierszy, najlepiej pisać. Społój spływa na papier, zmęczenie niepostrzeżenie ulata, myśl zwalnia tempo biegu, układa się i dąży przez papier równo z ruchem ręki i pióra.

Tydzień temu, po jakimś wieczorze, spędzonym na dyskusjach i rozważaniach u Michalika, wśród czarnej kawy i czarnych, niewesołych myśli — wróciłem późno do domu i wziąłem ze stołu do łóżka „Warszawiankę”. Zaczytałem się w strofach Wy-

spiańskiego, wizja kłęski, wizja przegranej, nieszczęsnej a tak przepięknej wojny trzydziestego pierwszego roku — wstrząsnęła mną tak, jak chyba nigdy. I znów przejdziemy do literatury jako przedstawiciela pięknego i wzniosłego bohaterstwa, którego efektem końcowym mimo wszystko jest przegrana, jest klęska. Gorycz, ciężka nawała rozpacz tak niepodzielnie mnie opanowała, głuche, złe, ciężkie myśli tak mną zawładnęły — że postanowiłem uciec, oderwać się choć na chwilę od nieustannej goryczy, jaką zaprawione były co dnia wszystkie nasze słowa. Nie na długo, ale choć na kilka dni odpocząć, oderwać się, a przedewszystkiem zapomnieć. Zapomnieć...

Rankiem następnego dnia wyjechałem i wysiadłem w Zakopanem, którego nie znałem. Tatry po raz pierwszy zobaczyłem w grudniu roku 1914, kiedy po Krzywopłotach włączyliśmy się z 4 i 6 bataljonem po Podhalu. Ze Szczawnicy przemaszerowaliśmy wówczas przez Spiż na noc do Bukowiny i następnego dnia o świcie, zalane czerwienią wschodzącego słońca — zobaczyłem Tatry. Krzyczałem prawie z zachwytem, spoglądając na potężny łańcuch, skąpany w krwawych zorzach, siwy od śniegów zalegających regle i zbocza. Potem z Nowego Targu i z Poronina, gdzieśmy stali, przez kilka dni oglądałem je całymi godzinami, bliskie, groźne, przygniatające wspaniałą swą potęgą,

Wsamem Zakopanem doznałem nieprzyjemnego rozczarowania. Sądziłem, że wjadę pociągiem w dziką rozpadlinę górską, z willami i domkami, rozszaniami po zboczach, a tymczasem zobaczyłem całkiem nikle przedstawiający się Giewont, ulice pod sznur na równym, płaskim terenie i wiele paskudnych bud na Krupówkach. Rozczarowanie było tak silne, że pod wieczór obróciłem się plecami do gór i z kijem w ręku, poszedłem w pole, ku Poroninowi.

Było ciche popołudnie, owsy jeszcze nie żłte, bieleły na słońcu, które powoli traciło dzienny swój blask. Przeszedłem jakieś wzgórze niewielkie, jedno i drugie i siadłem wreszcie pod gruszą. I znów, kiedy siadłem pod drzewem, kiedy w rozgrzanem, cichem powietrzu usłyszałem granie świerszczy, kiedy zapach, idący z niezżętych jeszcze pól ogarnął mnie zewsząd — jak żywe stanęły mi w oczach pola, wzgórze i jary, kieleckie i radomskie. Leżeliśmy w rezerwie czy tyraljerze w takim samym zapachu zbóż, w takim samem, cichem, nagrzanem słońcem podwieczeru. Tylko, gdy wokół polatywał jedyny, radosny huk polowych dział, gdy drżało powietrze od głębokich głosów eksplozji, trzepał się zdaleka ogień karabinów maszynowych, a my leżeliśmy wzdłuż kolein jakiejś krytej drogi czy we wnętrzu terenu — jakże wówczas byliśmy przecie szczęśliwi. Żółci, chudzi, wymizerowani, klnący, że znów dzisiaj charatać się mamy, skoro na inny bataljon kolejka wypadła — ale hardzi, dumni, pewni swej Polski, którą zasięg naszego ognia oddawał nam niepodzielnie w zwycięskie ręce nasze. Tak jeszcze niedawno, wczoraj dopiero, świat moglibyśmy karabinami swymi zawojować, nieulekli przed nikim i niczem — a teraz, rozproszeni zo-

staliśmy po świecie, pozbawieni broni, wybici z kolumny mocnej i zwartej, bez Komendanta i wspólnej, wszystko obejmującej radości życia i działania. Jakże tu żyć, jakże pogodzić się z tą nieznośną męką, z raną nieustannie w sercu krwawiącą, z nieznośnie ugniatającą falą żalu, którego ukość niepodobna i nie sposób?...

Zerwałem się, by pójść naprzód, by zmęczeniem fizycznym, widokami, wrażeniem nowem i nieznanem otrząsnąć z siebie myśli złe i czarne, które jak kruki nieustannie wokół krążyły. Obejrzałem się w pewnej chwili poza siebie i stanąłem, jak wryty. Słońce już mocno się miało pod zachód i zdumionym oczom moim ukazał się cały ogrom Tatr, tak jak wówczas z Bukowiny, z Poronina. Zaszedłem bowiem daleko i z pagórka, gdzieś już blisko chyba Poronina — rozpostarł się przede mną cały potężny łańcuch od Osobitej aż po Hawrań i Murarń, odsłoniły się całe, wysokie Tatry z Gerlachem, Łomnicą i Lodowym, których widok zastania w Zakopanem Giewont, których się nie spodziewałem w całym pięknie i grozie zobaczyć. Znów stały góry przede mną, jak wówczas... Milczące, groźne, zalane krwawym blaskiem, z jasnymi smugami żłebów, pokrytych śniegiem i czarną masą nagich, skalistych ścian.

Zawróciłem. Ostrym krokiem doszedłem do Zakopanego, wciąłem, w świetnym już humorze, kolację i zaraz spać — by jutro skoro świt — skoczyć w góry.

Spałem, po raz pierwszy oddawna — jak kamień. Rankiem następnego dnia zakopiański fiaker podwiózł mnie do Kuźnic, skąd wydeptaną ścieżką, spiesząc się po cepersku, byle wyżej, byle prędzej, dotarłem do Gasienicowej Hali.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Tam ogarnął mnie szal. Chciałem wejść odrazu i na Kościelec i na Granaty, przy Czarnym Stawie „zatknęło” mnie nanowo, czar górskiej przyrody, niewymownego piękna, ciszy drzemiącej wśród piargów i groźnych kotłów opanował mną całkowicie. Uleciały złe myśli, strząsnąłem z siebie nieznośny ciężar rozważań i rozmyślań, ciekawość gór ponad wszystko w tej chwili silna — stała się jedynym pragnieniem. Jak jest tam za Zawratem, jak za Liljowem i co dalej, co za Pięcioma Stawami, za Cieną Doliną i za Pańszczycą, który to Wołoszyn, co widać z Kizyżnego i jak jest na Kysach.

Przez pięć dni następnych, co dnia z przygodnym towarzyszem lub sam — dąłem się do serca gór, coraz to gdzieś dalej, coraz dalej i wyżej. Znienawidzone, okrutnie męczące w czasie wojennych marszów, nieprzyjemne i złe góry z czasów wojny, z czasów utrudniającej wędrówki zimowej na Podhalu w roku czternastym — teraz stały się pieśnią, cichą i chłonną radością, a nade wszystko jakże potrzebną, konieczną wytchnieniem.

Wróciłem po tygodni, gdy mi się wszystkie posiadane korony rozlażyły, także i cywilne trzewiki. Wróciłem zmęczony potwornie i cudownie wypoczęty, pełen siły i energii. Musi być dobrze, tyleśiny złych i ciężkich, nieznośnych chwil przeżyli — a przecież zawsze z losem za łeb, za pazurę się wzięwszy — swego dokonali. I będzie dobrze, wróci Komendant, spracowanych, ale radością meldujących nas zastanie. Będzie dobrze, bo być musi, bo my tak chcemy i my swego dokonać musimy.

Dziś wróciłem. Już w Suchej dorwałem się do gazet, bo jakże, tyle dni bez nowin, bez wiadomości. W naszych sprawach nic, natomiast Niemcy dostają trochę w skórę na froncie zachodnim, ale mało, okrutnie mało. Wzięli Anglicy Langemarck, poza tem Francuzi biją huraganowym od fortów Verdun. Nad Soczą Włosi ruszyli do jedynastej ofensywy i nieco Austriaków tłuką, ale również mało.

Niesłychane poza tem rzeczy dzieją się tu w Krakowie, o czym się dzisiaj dowiedziałem. Przejęto listy Romaniszyna do Zagórskiego. Wytrąciło to mnie z równo-

6)

wagi, gdy przeczytałem. Cała masa podłości i plugastwa. Skandaliczne poprostu rzeczy... Ponadto dowiedziałem się, iż Korpus Posiłkowy Polski został wycofany z Królestwa i przeniesiony do Galicji, Rada Stanu podała się do dymisji. Oto są dwie kolosalnie ważne nowiny. Rozmawiałem dzisiaj z dr. Szymanowskim, który sprawę przeniesienia II brygady do Galicji dość optymistycznie rozpatruje, o ile naturalnie chłopcy nie pójdą na front. Poszły obydwie pułki, w Królestwie w „Wehrmachcie” ma zostać wszystkiego około 1000 ludzi z Berbeckim, Januszajtisem, Minkiewiczem, Zymińskim i Kukielem. I z tysiąca tych ludzi chcą oni tworzyć armję, budować ją bez Komendanta, bez trzech legionowych brygad. Nadzwyczajne rzeczy...

Narazie całe, istniejące jeszcze legjony, t. j. II brygada i 2 pułk ułanów udają się do Przemyśla, a stamtąd pono na front. W ostatniej jednak chwili wstrzymano zarządzanie wagonowania pułków na 24 godziny, co miało być podyktowane względami politycznymi. Sądzę jednak, że raczej względami wagonowymi.

Ano, z Polską listopadową — koniec ostateczny.

Sroda, 29 sierpień. — Mimo wszystko pułki II brygady odjeżdżają już do Przemyśla. Rozmawiałem dzisiaj z Dobrodziekim, który dwa tygodnie siedział u Niemców. Wypuścili go obecnie, z rozkazem!

zgłoszenia się do austriackiego ministerjum wojny.

Gad obszernie mi komentował sytuację, która o tyle jest „lepszą” od ostatniej, że centrowcy na skutek dymisji Rady Stanu tracą okrutnie na wpływie. 3 pułk wyjeżdżając, pozostawił po sobie ciężką, bolesną odezwę, w której wini społeczeństwo i Komendanta.

Piątek, 31 sierpień. — Niemiecka prasa, donosząc o dymisji Rady Stanu, pisze, iż wysłanie pułków legjonowych na front jest li tylko zarządzeniem wojskowym. Natomiast donosi również, że tworzenie rządu w Polsce ma nastąpić w krótkim czasie.

Sobota, 1 wrzesień. — Dostałem dzisiaj list, wysłany „okazją”, a w nim załączoną odezwę „piątaków”, którą w drodze do Szczypiorniej rzucił w Łodzi członkiniom Ligi Kobiet z prośbą o druk. Kartka, załączona do odezwy, brzmiała: „Drogie Obywatelki. Jedziemy do obozu jeńców w poczuciu spełnionego obowiązku, jedziemy weseli na nowe boje i trudy. Jedziemy silni czynem męskim i łącznością z Wami, krzepcy duchem. Wiemy, że Wy nas rozumiecie i że szerzyć będziecie dalej naszą wielką ideę. Prosimy Was o wydanie i rozpowszechnienie naszej odezwy, wydanej w pociągu, którą załączamy. 5 p. p. W pociągu 17.VII.”

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Do kartki tej dołączyli chłopcy, równie silną i mocną, krótką odezwę następującą:

„Obywatele.

Za stałą wierność idei — jedziemy do obozu jeńców.

Jedziemy dumni ze spełnionego obowiązku i jesteśmy pewni, że tak nas zrozumiecie.

Wiemy, że poza bandą pruskich pacholków i sprzedawczyków stoi jeden wielki Naród — Naród, który łącznie z nami, wkrótce znów podejmie walkę z bronią w ręku o wolność i niepodległość Ojczyzny.

Wiemy, że postępowanie nasze jest wynikiem zbiorowej woli całego Narodu i że tej woli jak dotychczas, tak również i w przyszłości zawsze się podporządkujemy i dlatego też jedziemy weseli i ufni w potęgę czystej sprawy.

Niech żyje komendant, Józef Piłsudski.

Niech żyje Armja Narodowa.

Niech żyje Niepodległa Polska ludowa.

5 p. p. Wojsk Polskich

w pociągu 17-go lipca 1917 roku.“

Tę to właśnie odezwę sfalszowała ordynarnie Łódzka P. P. S. Wydała się jej zbyt mało bojową i demokratyczną. Dodano

wobec tego następujące inwokacje: „Śmierć i hańba pruskim pacholkom i sprzedawczykom. Precz z nowoczesną Targowicą — Radą Stanu“, a do słów: „Niech żyje Niepodległa Polska ludowa“ — dodano: „republika“ i „demokratyczna“. Łobuzy nie potrafili uszanować słów żołnierzy, którzy jechali na ciężką, bolesną niedolę obozów jeńców, musieli zaraz upiec przy tem partyjną swoją pieczęć.

Niedziela, 2 wrzesień. — Dziś niedziela, upał zjadliwy, kto mógł wyrwał się za miasto, by odetchnąć świeżem, rzeźwem powietrzem. Wybrałem się i ja najpierw tramwajem na Salwator, później aleją wysadzaną wspaniałymi, starymi drzewami w stronę Kopca Kościuszki, stamtąd polami, miedzami, pagórkami łagodnymi ku zalesionym Bielanom.

W nocy i wczesnym rankiem była burza, przez czyste odświeżone powietrze wzrok sięgał niewiarygodnie daleko. Już z alei, wiodącej ku Kopcowi, poza błyszczącą w słońcu Wisłą, poza polami rozległymi — siniało zdala pasmo Tatr. Nie spodziewałem się, że je znów zobaczę, to też nie dochodząc do Bielan, siadłem pod kępą

drzew, wzrok kierując ku nim, na południe. Ta'ry, Podhale... Babia Góra nieco w prawo w bok wyniosła swą kopą odcinała się wyraźnie na pierwszym planie. Góry... Znów opadły mnie gorąca falą wspomnienia, tak żywe, tak dotykalne. Ileż czasu w ciężkim trudzie przemierzaliśmy góry nasze. Ciężkie, złe były to chwile, kiedy rozbite wojska austriackie cofały się aż do Krakowa, kiedy zdawało się, że na skrawku niedostępnych, groźnych gór oprzymysła tu sami nawale wroga, że wśród nich, wśród skał, dolin i rozpadlin stanieny murem, gotowi paść jeden po drugim, niżli opuścić ostatni ten, wolny jeszcze od najeźdu skrawek ojczyzny. Tu od Tatr, od Podhala rozpoczął się przełom, wprost stąd, przez Nowy Sącz poszliśmy pod Łowczówek.

Góry... góry... Przez nie przecież wracał do kraju Jan Kazimierz i on, podobnie jak my, w środku gór i wśród góralskich serc poczuł się w ojczyźnie, poczuł się w kraju. Idzie i teraz ku mnie jakaś dziwna, niewytłómaczona niczem ufność i nadzieja, że przecież i teraz, kiedy ku Polsce spływa wieczne błogosławieństwo wierchów tatrzańskich — przetrwamy złe chwile i ciężkie dni, jak przetrwaliliśmy dotąd. Że musimy tylko siły moralnej nie stracić, nie ugiąć się, nie dać — a zwycięstwo po naszej będzie stronie.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

III.

JESIEŃ ROKU 1917-GO.

Sroda, 5 wrzesień. — Zaalarmowano mnie dzisiaj wiadomością, że ponoć w najbliższy poniedziałek ma się odbyć w krakowskiej Stacji Zbornej odbieranie przysięgi od królewaków. Poruszyło mnie to ogromnie, boć przecie jestem ciągle jeszcze w mundurze. Ostatnio po rozmowie z dr. Bobrowskim, jako że urlop mi się kończył, udało mi się wpakować do jakiegoś śmieszego archiwum legionowego, którym kieruje dr. Effenberger - Śliwiński. Mają tam również przydział: poeci Orkan Władysław i Andrzej Tesiar oraz rzeźbiarz Raszka. Stąd, że należę na stałe do krakowskiego, legionowego garnizonu — mogą mnie tą przysięgą zahaczyć.

Pobiegłem natychmiast do Bobrowskiego i Szymanowskiego, którzy uradzili, abym zaraz starał się o przeprowadzenie urlopu superrewizyjnego na pół roku, względnie na rok, co mi pozwoli oderwać się odrazu od Stacji Zbornej i legalnie całkiem wsiąknąć do cywila.

Zie pozatem przychodzą wiadomości z Przemyśla, dokąd przewieziono resztki 1, 4, 5 i 6 pułków oraz 1 kawalerji. Są tam sami poddani austriaccy, od których żądają, by przeszli do Korpusu Posiłkowego, by zostali nadal w legionach. Wiara stała się świetnie, twardo, bezwzględnie. Ponoć wystawiono na nich karabiny maszynowe.

Czwartek, 6 wrzesień. — Rankiem już o 8 byłem przed czwórką, czyli szpitalem wojskowym Nr. 4, cierpliwie oczekując dr. Szymanowskiego. Jakoż zaprowadził mnie do jakiegoś brodatego lekarza w owym szpitalu, gdzie szczęśliwie znaleziono u mnie zajęcie lewego szczytu w płucach.

Przeszedł mi tam czas do południa, poczem goniłem znów, by jak najspieszniej wydostać odpowiednie papiery. W Krakowie komisje superrewizyjne odbywają się raz na tydzień, w poniedziałek, a ponieważ amatorów do superrewizji w c. k. armji jest „wiele za bardzo“ i komisje mają mnóstwo roboty — nie wiem, czy mi się uda do poniedziałku wszystko pomyślnie „zaamcic“. Raczej — jak Podworski powiada — nie uda się.

Piątek, 7 wrzesień. — Dziś dobijałem moje fizyczne kalectwo. W c. k. festungs-szpitalu zostałem zbadany ponownie przez jakiegoś sztabs-arcta i zakwalifikowany nieomylnie do sześciomiesięcznego urlopu. Pociągnie się jednak ta sprawa dłużej, wobec czego wyjeżdżam z Krakowa, tembardziej, że Szymanowski ma mi dać cały szereg różnych ważnych papierów do Warszawy.

Czwartek, 13 wrzesień. — Po tygodniu, niezbyt wyspany, ale w spokoju, nie napaśtowany przez „kanarków“ — zjechałem dzisiaj zpowrotem do Krakowa. Po dniu, pełnym gonienia, choć ciągnie mnie do łóżka — piszę.

Wyjechałem z Krakowa w sobotę, 8-go

8)

września, by niedługo spędzić u starszków w Łodzi. W drodze nie spałem, pociąg nabity do pełna — mimo to droga przeszła mi szybko. W korytarzu II klasy, szukając wolnego miejsca natknąłem się na jakiegoś srogiego beliniaka, o pysku, który wzbudzał ogromne zaufanie. Beliniakiem okazał się wachmistrz Stefanowicz, galileusz, artysta - malarz, figura pierwszorzędną. Ugadaliśmy się do syta i o wspomnieniach z frontu i o sytuacji obecnej. Od niego dowiedziałem się, co dzieje się w Przemyślu, gdzie stoją pułki. Przyjechał tam c. k. generał Schiling, przeprowadza dochodzenia, śledztwa, rozmówki — a wszystko to ma na celu zatrzymanie chłopców w legionach, w obecnym Korpusie Posiłkowym. Postawa chłopców jest świetna, pozatem, ponieważ leguny w najcięższych nawet chwilach nie tracą humoru, gdy są razem — sceny z komisją gen. Schilinga bywają kapitalne. Nic — tylko stać z boku i kino kręcić. Rozżarta natomiast wiara jest srodze na własnych, legionowych drani, bo ci dokuczają nie z głupoty, a z wrodzonego im łajdactwa duchowego.

Do Łodzi zjechałem srodze zmęczony, ale pokrzepiony mocno. To, co mi opowiadał Stefanowicz, świadczyło, jak wiara jest silna, niezłomna moralnie, jak nic i nikt nie potrafi legunów złamać, jak odchodzą na włoski front z niedającym się zachwiać przekonaniem i wiarą, że do nich ostateczne będzie należało zwycięstwo. I kto wie, czy oni tam, w Przemyślu, czy w Szczypiornie, razem dołą i niedołą złączeni, nie będą stanowili tej siły, która nas poszczególnych na „hinterlandzie“ rozbitków — tak często opuszcza, siły, która ostatecznie zaważy na naszych losach?...

W Łodzi podekowało się również sporo chłopców. Jest tam Edek Pfeiffer i Stach

Wolski, obydwaj odrazu zabrali się zpowrotem do pracy w skautingu. Omawiałem z nimi długo sytuację, by pilnowali, aby skauting był na każde zawołanie P.O.W. Przybyły tylko byłem wieściami ze Szczypiorna, wiara tam męczy się potężnie, choć im Kalisz pomaga rzetelnie. Jest tam nasz lekarz pułkowy dr. Kaplicki, który utrzymuje łączność między obozem a krajem. Od Edka dostałem drukowany „List z obozu jeńców“ przestany od jakiegoś jeńca-Polaka, jeszcze przed zamknięciem w Szczypiornie legionistów. „Za mieszkanie służą jeńcom doły w ziemi, pokryte dachem — drukują w tej ułotce. — Pożywienie stanowi mętny, cuchnący płyn jako zupa, z dodatkiem świeżo koszonej trawy. Śmierci głodowe są na porządku dziennym. Codziennie po kilka pogrzebów. Traktowanie nieludzkie i brutalne. Posyłki żywnościowe są okradane po drodze czy też w samym obozie. Kradzieże wśród samych jeńców są na porządku dziennym...

Wśród jeńców wojskowych przeważają Rosjanie. Są również Rumuni i Francuzi.

Dla jeńców cywilnych z Królestwa obóz ten służy jako kwarantanna. Poddani oni są tutaj wszelkim szczepieniom, jak tyfus, ospy, cholery, oraz przymusowym kąpielom i goleniu całego ciała. Dla charakterystyki celowości tych zarządzeń warto powiedzieć słów kilka.

Golenie odbywa się ryczałtowo: inteligent staje obok żyda, żyd obok ociekającego ranami żebraka. Przyrzędów, służących do golenia z zasady się nie myje. Każdy obdarowany zostaje miazmatami swego poprzednika. To samo dotyczy szczepienia „ochronnego“.

(D. c. n.).

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Kąpiel odbywa się pod prysznicami w takiej ciasnocie, że kąpiący muszą się ocierać o siebie ciałami, przyczem nierzadko zdarzają się towarzysze, ociekający ranami syfilitycznymi.

Suszenie po kąpieli, nawet w zimie przy 20-stopniowym mrozie odbywa się w siedmiej izbie, do której przechodzić trzeba zupełnie bez ubrania przez podwórze. Niedarmo pobyt w Skalmierzycach określają jeńcy cywilni, jako próbę fizycznej wytrwałości.

Kwarantanna taka trwa od miesiąca do 6 tygodni. Poczem jeńcy cywilni przenoszeni są do „lepszych“ obozów, zależnie od stanowiska i t. p.

Chcąc uniknąć śmierci głodowej, trzeba się uciekać do nielegalnej komunikacji ze światem zewnętrznym. Kosztuje ona bardzo dużo i jednocześnie nie daje żadnych gwarancji. Przesyłki giną, równie dobrze, jak i drogą urzędową. Poczta zasadniczo nie przyjmuje posyłek dla jeńców cywilnych tak, że idąc za literą prawa i stosując się do wszelkich przepisów powinni oni w krótkim czasie umrzeć z głodu. Sądzę, że wniknięcie w tę sprawę jest pilną

koniecznością. Tembardziej, że nabywanie produktów żywnościowych wewnątrz obozu od kolegów jeńców jest prawie niemożliwe ze względu na zupełne oddzielenie jeńców cywilnych od wojskowych.

Korespondencja jest utrudniona. Wolno pisywać i odbierać tylko określoną ilość listów. Dużo listów ginie, pozostałe są ściśle kontrolowane.

Widzenie się z jeńcem cywilnym uzyskać niepodobna, gdyż to przeszkadzałoby kwarantannie. Cały szereg obostrzeń skierowany jest przez miejscową komendanturę.

Zajęciem jeńców wojennych jest uprawa pól koło obozu i posługi obozowe. Przy robotach tych jeńcy zastępują nie tylko konie, ale i poszczególne narzędzia rolnicze. Rękami ciągną pługi, brony, wozy. Zamiast walcować, nogami udeptują całe szmaty pól i t. p. Przeglądając się im zbliżka, przerażony byłem kolorem twarzy ich sino-żółtych. Wygłodziali, chudzi, bez sił, ale co dziwniejsze bez słowa skargi, steroryzowani przez twarde warunki obozowe.

Kiedy czytałem ten list, czułem jak krew

splywa mi do serca. Wprost straszne. Edek pociesza mnie jednak, że o takich warunkach w barakach legjonowych mowy nie ma, warunki są dużo lepsze, choć nędzne. Poza tem, wszyscy bliscy mi, nie wiedząc, co się ze mną dzieje, krążą tam najdziwniejsze plotki, nawet że skończyłem samobójstwem. Napisałem też zaraz obszerny list do Lucka Frakowskiego, zawiadamiając go co robię i jak mi się osobiste sprawy ułożyły oraz dlaczego ja i szereg innych, których przysięga nie zastała w pułku — do Szczypiorna się nie zgłosił.

Jednak wszystko to razem wpłynęło na mnie fatalnie, do czego przyłączyło się ponadto samopoczucie z racji munduru, jaki ciągle jeszcze noszę. Cały szereg ludzi kłaniało mi się zimno, podejrzewając snadź, że złożyłem przysięgę, niejeden bałwan siedzący całą wojnę w Łodzi ironicznie się nawet uśmiechał. Dzika cholera mnie porwała, zwłaszcza, że ci tyłowcy chcą być plus catholique que le pape — bardziej cesarscy, niż sam cesarz i czynią afronty publiczne drugobrygadowcom, żołnierzom linjowym z frontu, którzy obalamuceni przez swą górę, Zagórskich, Sikorskich, Hallerów czy Panasiów, zostali w wojsku, a teraz byle wyciruch ręki im umyka. Miałem na tem tle awanturę z jednym peowiakiem, że o mało go nie skaleczyłem.

(D. c. n.).

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

W Warszawie trochę odetchnąłem, choć tu w mundurze czułem się fatalnie. Wszystkie dni spędziłem z Ildefonsem Gołębiowskim, Ramockim i innymi pozostałymi na wolności tuzami peowiackimi na gruncie warszawskim, co odrazu każdego nieznanego mnie uświadamiało na odległość, że to swój. Flojar i Hempel już wsiąknęli w Warszawie do **cywila**, czego im serdecznie zazdroszczę.

Wyrwiałem się też czemprędzej zpowrotem do Krakowa, by odetchnąć lżej, swobodniej, jako że w Krakowie pełno jest swych jeszcze w mundurach — lecz czekać musiałem na papiery, które od Długoszowej przywiozłem do Krakowa, wręczwszy przesyłki Szymanowskiego i Bobrowskiego.

Piątek, 14 wrzesień. — Okazuje się trzynastka jest dobra tylko dla Komendanta, ale zwykłego śmiertelnikowi musi przynieść pecha i to niezłego. Dzisiaj miałem oddać p. Radlińskiemu papiery od Długoszowej — i zimny pot mnie oblał. Niema. Przeszukałem teczkę, walizkę, ubranie — jak kamień w wodę. Musiałem zgubić, idąc wczoraj na kolację i to zgubić w dziwny sposób. Byłem w rozpacz, a gdy jeszcze Szymanowski dodał, że papiery te zasypać mogą Gąsiorowskiego — dobiło mnie to ostatecznie.

Sobota, 15 wrzesień. — Skończyły się upalne, pogodne dni. Temperatura naraz obniżyła się gwałtownie, co specjalnie daje mi się we znaki, jako że w ostatnich wojnach mocno się przeziębilem.

Ogłoszono dzisiaj patenty cesarskie — nic jednak szczególnego, mydlenie oczu i zabawki dla starszych dzieci w dalszym ciągu. Ma powstać Rada Regencyjna, która będzie stanowić „Najwyższą władzę państwową w Królestwie Polskiem aż do jej objęcia przez króla lub regenta“. Wyobrażam sobie, jaki jubel panuje z tego powodu wśród aktywistów i naszych przyjaciół z komendy legionów, jak to dowodzą, że oni mieli i mają nadal rację, której na drodze stoi anarchistyczna I brygada. Tak nam ciągle wymyślają, tak psioczą, takie niestworzone historie wypisują, że trudno spokojnie o tem myśleć. „Czas“ np. wywalił czarne na białem, że nasze pułkowe „Rady żołnierskie“, to wzór wzięty ze zdemoralizowanej przez rewolucję armii rosyjskiej. Tak się tym zwłaszcza argumentem wściekłem, że zacząłem odrazu dzisiaj pisać odpowiedź.

Niedziela, 16 wrzesień. — Dostałem dzisiaj odezwę żołnierzy pułków legionowych, przeniesionych do Przemyśla, a więc 1, 4, 5, 6 pułków piechoty, 1 p. ułanów i 1 ar-

tylerji. Odezwa mocna, doskonale skonstruowana. Przepisałem sobie jej treść, która brzmi:

„Narodzie Polski.

Nikt nas nie wzywał, a jednak nie wołani posłaliśmy w Jej służbę. I dziś nie wołani — odchodzimy.

Zbrojne ramię nasze znosiło trzechletni trud z radością, a klęska wywoływała zaciśnięcie warg i pracę tem zawziętszą.

Doczekaliśmy wyników i uniezależnił się prawie duch Narodu i zapragnął niepodległości dla siebie i szczęścia dla wszystkich.

Z pomiędzy dwóch wrogów jeden jest usunięty, drugi tem zacieklej nas zwalcza i w nienawiści bezdennej mami pozorami i kłamie. Niema z nim współzycia, bo ustąpić on nie chce ani odrobiny. Dlatego my odchodzimy. Nie wolno nam bowiem w imię dobra Narodu podlić się dłużej, uznawać judaszowskie jego zamiary.

Narodzie. Legiony polskie ochotnicze i polityczne mówią Tobie, że trzeci dzień nastał i uznanem zostało prawo Twe do życia. Pracą i wysiłkiem jednak zdobyć musisz to, bo nikt nie da Ci tego zadarmo, a tylko za ofiary życia i mienia każdego z Twych synów bez wyjątku.

I ma być Polska nie koalicji, czy centralnego bloku, lecz sama, swoja, dla siebie istniejąca i dla wszystkich.

Bracia. My młodzi wojownicy polscy, przeklinający niekiedy swój naród, weseli jesteśmy dzisiaj przyszłością społeczeństwa i idziemy na nowe bóle i walki z jednaką siłą, co towarzyszyła nam w obliczu śmierci i triumfie życia.

My używamy Naród do walki z zaborcami i każdym wrogiem, do walki nieprzerwanej, do wyniku dla wspólnego dobra ludzkości. Ci, co zostają z nas, to część nasza, co nie zrozumiała jeszcze i nie doszła do tego punktu, co my. Oni także chcą podobnie i robią to samo co my, tylko później.

O ocenę naszego kroku nie pytamy, bo tak postąpić musieliśmy, nam obojętne co o nas powiedzą, pochwalamy się sami, bo sumienie pan nasz najwyższy.

Podjąć się i zrealizować zawsze rozkaz narodowy, wykrzesać go z dobrej woli milionów, świadomy ochotny potężny i będzie nie Legionów tylko, lecz Narodu całego czyn:

Wyzwalające się, zapracowane i wysiłkiem strasznym zdobyte krwią i ofiarą uświęcone, świetlane cudne jutro Polski, co wstało do życia.

1, 4, 5, 6 p. p., 1 p. uł., 1 p. art. Leg. Pol.

Przemyśl 13.IX 1917 r.“

Poniedziałek, 17 wrzesień. — Wściekły jestem, bo mi się fatalnie moje sprawy osobiste ułożyły. Byłem dzisiaj na tej przeklętej **superrewizji**, „taki rok na nią“... Zamiast mi dać ów spodziewany sześciomiesięczny urlop, przeznaczyli do szpitala. Że też kary Boskiej na tych „trepów“ niema.

Artykuł o „Radach żołnierskich“ dałem w „Kulturze“ Leonowi Wasilewskiemu. Dałem go z wielką trema, boć to publicystyczna pierwsza moja próba. Jak będzie zła — to najwyżej nie wydrukują.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Wtorek, 18 wrzesień. — Sprawę ze szpitala załatwiłem narazie pomyślnie. Podworski obiecał papiery schować do biurka i wtedy dopiero mi je doręczy, kiedy mi będą potrzebne. Mam teraz dwie drogi, które mi dostać się mogą do cywila: albo przejść przez szpital, poleżeć tam dwa tygodnie i ponownie, z formalną zgodą c. k. austriackich władz wojskowych włożyć na się szatki cywilne, albo spakować się i odsadzić daleko od wolnej ziemi ojców naszych, czyli wynieść się z Krakowa. Aby tu na miejscu mógł się przedzierać w cywila — mowy niema. Jednak ponieważ chcę zostać w Krakowie, tutaj bowiem zachynają się zbiegać wszystkie nici naszej roboty — przejdę przez ten choleryczny szpital, by mieć spokój do roboty.

Środa, 19 wrzesień. — Miałem dzisiaj trochę emocji. Wystarałem się dla Kubiaka, który chciał dostać się do Łodzi, o „lewe“ papiery od Podworskiego i odprowadziłem go na dworzec, dawszy mu multum poza tem poleceń. Na dworcu spotkałem Jędrka Hałacińskiego, który również zamierzał się przeszwarcować do okupacji niemieckiej — i jakoś, nie natknawszy się na „kanarków“, dostali się obydwaj do pociągu. Wróciłem spokojny do domu — a tymczasem, po południu — wpadają. Na-

kryli ich w Trzebinii, ledwie wywieśli, trzeba ich teraz przytulić, choć o tyle to nie jest pewne, że widziano mnie z nimi na dworcu i mogą kwaterę moją wywęszyć.

Dla uspokojenia nerwów, dla zapomnienia o „kanarkach“ i o podłej sytuacji, w jakiej się znajdujemy — zgadło się o froncie. Jędrak Hałaciński, który lubi i umie mówić — rozgadał się o Kostjuchnowce. Siedział wówczas na Reducie, pod takim samym wściekłym ogniem huraganowym, że miotano nim na wszystkie strony — jak i my na Polskiej Górze. A że Jędrak jest poetą, więc choć nim telepało i męt niemały czuł w głowie — jednak zdołał napisać wiersz i to wiersz niezły. Stać musieliśmy pod owym ogniem, załamać się na nas musiał szturm rosyjski, więc Jędrak pisał:

„Jesteśmy tutaj, aby stać,
Jak niewzruszony skalny złom,
Jak niewzruszony skalny głaz,
By zawieruchy przetrwać czas.
Choć za gromem pada grom
Jesteśmy tutaj — aby żyć...

Jesteśmy tutaj, aby żyć
Lub zginąć — jak wypadnie,
Lecz choćby przyszło złożyć broń
W upokorzenie skłonić skroń,
W nas żądza walki będzie tkwić
Ukryta w sercu — na dnie...”

„W nas żądza walki będzie tkwić...” Jędrak Hałaciński ani przypuszczał, że w równy rok po Kostjuchnowce, po odwróceniu na Stochód, po wspaniałych naszych bojach, gdzieś tyle krwi po sobie zostawili — przyjdzie czas, że będziemy musieli „złożyć broń, w upokorzenie skłonić skroń“... Ale to nic. „W nas żądza walki będzie tkwić“...

Zaczęliśmy później czytać Długosza „Przed złotym czasem“, teraz właśnie wydane utwory i listy nieodżałowanego Długosza. Kupiłem je wczoraj, czytałem powielekroć Długoszowe słowa. Dziś przeczytałem z Jędrkiem kilka tych wierszy — resztę książki zazdrośnie ukryłem, z Długoszem chcąc być sam.

Niedziela, 23 wrzesień. — Nie mogę się jeszcze wziąć do celowej, produktywnej pracy. Od rzeczywistości uciekam nieustannie, najchętniej do wspomnień, do przeżywania jeszcze raz tego, cośmy na froncie, w brygadzie przeżyli. Czytam, sam piszę nieustannie. Teraz w „Naprzodzie“ po wydrukowaniu w kilku odcinkach „Kostjuchnowki“, wydrukowali mi z kolei długie wspomnienia o Sulkiewiczzu, w pierwszą rocznicę śmierci Michała.

Środa, 26 wrzesień. — Znowu jadę. Między Warszawą a Krakowem coraz żywszy się rozwija ruch, powoli wszystko tu w Krakowie zaczyna się koncentrować, tworzyć nasza główna baza operacyjna. Stąd ciągle trzeba przewozić coś do Warszawy i zpowrotem, boć innej przecież drogi niema. Z racji też, że mam jeszcze na sobie mundur, dajac mi względną swobodę, że

na bezczelności mi nie brak, skoro chodzi o wycyganienie prawdziwego lub „robionego“ dokumentu podróży — zaawansowałem na kurjera. Dziś znowu obciążony potężnym kufrem „bibuły“ jadę do Warszawy, zostawiając w pokoju swym Julka Neumarkę, który wywiał z Łodzi i tu w Krakowie chce się zadekować, gdyż w Łodzi nie czuł się dość pewny.

Środa, 3 październik. — Nie było mnie w Krakowie cały tydzień. Julka Neumarkę zastałem zaniepokojonego, gdyż przypuszczał, że się z moim bagażem wsypałem, jako że miałem wrócić po dwu — trzech dniach.

Ale wracajmy ab ovo. W drodze do Warszawy (taki już mój los) — mowy znowo o jakim takim miejscu nie było, więc nie zmrużyłem ani na chwilę oka. Wagony i całe pociągi tak są nieustannie przepełnione — a najlepsze to, że w niemałym stopniu ów tłok czynią leguny. Niby jedni są w Szczępiornie, inni na włoskim froncie, garstka w Warszawie i w Korpusie Posiłkowym, a w pociągu na szlaku Warszawa — Kraków aż się od nich roi. Przegadałem też wiele drogi ze Stachem Hillerem, który wziął przed przysięgą urlop do Krakowa, by porządkować swoje medyczne rygory — i teraz po skończeniu urlopu jedzie do Warszawy, a w Krakowie do Benjaminowa. Niema to sensu, Stachu jedzie, by być formalnie w porządku, ale napewno wróci, gdyż z Warszawy wypchną go zpowrotem do Krakowa.

(D. c. n.).

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

W „stolicy“ gonilem przez dwa dni, jak wściekły z mnóstwem listów, pak i paczek, które szczęśliwie w bagażu swoim przywiózłem. Po swobodzie krakowskiej — konspiracyjne miny warszawskich peowiaków trochę mnie peszą, gdyż zachowuję się tak, jak w Krakowie, a tu na każdym kroku agent niemiecki. Swoją drogą dużo trzeba będzie pracy i energii, by zrestaurować robotę peowiacką. Niemcy okrutnie przeźrebili organizację — mnóstwo i to najbardziej czynnych ludzi siedzi w Mokotowie, w Modlinie, w Werl i Havelbergu. Pozostali mocno są przypeszeni, brak przywódców — powoli dopiero zaczynają przywykać do warunków pełnej konspiracji. Pójdzie to jednak, mają przecież i tradycję i wprawę z czasów rosyjskich.

W Łodzi, w domu — ruch zastałem jeszcze większy, istna stacja zborna legunów. Wybrałem się na poświęcenie pomnika na miejscu stracenia powstańców, ale wróciłem wściekły, gdyż rej wodzili i mowy trzy mali sami centrowcy z Ligi Państwowości. Swoich niema — przeważnie w kryminalę lub afiszować się nie mogą. Poza tem ze Szczypiorna wiadomości jak najgorsze. Kil-

ku oficerów, którzy razem z żołnierzami pojechali do Szczypiorna, by razem dołączyć i niedołą nadal dzielić — nakryto i wywieziono do obozów niemieckich. Odżywianie strasznie podle i póki było ciepło — jeszcze wiara humoru nie traciła. Teraz jednak, gdy nastały chłody jesienne, gdy przez baraki przecieka deszcz, a okryć się niema — chłopcy opadli na siłach niemało. Część nawet na skutek akcji księdza Kwapińskiego, który pod płaszczkiem spowiedzi sondował żołnierzy — powróciła do „Wehrmachtu“.

Nasza paka: Władek Łęcki, Zygmunt Chabowski, Maniek Pacholski i reszta „czuwa“ łódzkich trzyma się razem. Wogóle kompanja 4 Styka - Stachewicza jest prawie w komplecie nienaruszona. Jest tam nawet Warszawski, który z wrodzonym sobie talentem handluje w Szczypiornie z posterunkami niemieckimi. Odbywa się to tak, że „Warszawski“ bierze parę nowych butów gdzieś ukradzionych, idzie w nocy do wartownika i proponuje sprzedaż za kilka marek. Niemiec kupuje i stawia je za sobą lub w wartowniczej budzie. Po chwili Warszawski skrada się, bierze cichaczem

dopiero co sprzedane buty i sprzedaje tę powtarza w ciągu jednej nocy z kilkunastoma posterunkami. W rezultacie wraca z kupą pieniędzy i z... butami.

Piątek, 5 października. — Miałem dzisiaj dobry dzień. W „Kulturze“ po załatwieniu różnych spraw z p. Radlińską — podchodzę nieśmiało do redaktora „Kultury“, którym jest Leon Wasilewski i z wielką trema pytam się, czy mój artykuł o „Radach żołnierskich“ pójdzie.

— Ależ naturalnie — powiada Wasilewski — pan ma talent, niech pan pisze jak najwięcej...

Aż mię zatknęło. Poczzerwieniałem, bąknąłem coś, a zacy Wasilewski, którego odrazu pokochałem — zaczął mi klarować o czym mógłbym do „Kultury“ pisywać. Z radości poszedłem z Julkiem na wódkę do Michalika, tembardziej, że okazja była podwójna, gdyż Julek Neumark spotkał tego dnia swego przyjaciela, beliniaka, Karola Kiedrzyńskiego, który mi mocno odrazu przypadł do serca. Kiedrzyński pod Trojanówką, w czasie odwrotu z pod Kostjuchnowki skłóty i porąbany dostał się do niewoli. Przytomność odzyskał dopiero w Kijowie, skąd go po wyleczeniu jako inwalidę wyostał Czerwony Krzyż. Do kraju wrócił przez Szwecję i tu w Krakowie zapisał się na uniwersytet, na matematykę. Czuje, że nam w trójkę z Julkiem Neumarkiem i Karolem Kiedrzyńskim będzie bardzo dobrze.

Poniedziałek, 8 października. — Dostałem dzisiaj z „Kultury“ przez okazję przywieziony list z Pułtuską od p. Niedziałkowskiej. Niewiasta żyje pod groźbą aresztowania, ale trzyma się dzielnie. Pyta się, czy my, rozbitki teraz, nie jesteśmy złamani i ja między nimi. „Nie złamało mnie to bynajmniej — odpisałem — nie jestem, jak Pani sądzi, ofiarą zwątpienia, lecz przeciwnie, wstąpiła teraz we mnie otucha. Otucha, że zaczynamy znów walczyć, a wszelką walkę, jaką zwykliśmy rozpoczynać — rozpoczynamy w imię zwycięstwa...“)

Czwartek, 18 października. — Dziesięć dni nie miałem mego pamiętnika w ręku. Znów jeździłem do Warszawy i Lublina z „bibułą“ i pocztą, gonilem pozatem za osobistymi swymi sprawami, które się przed stawiają o tyle podle, że jednak będę musiał poleżeć jakiś czas w szpitalu, o tyle zaś dobrze, że jak mnie zapewniają, będzie to już koniec. W szpitalu ma być wszystko obrobione, tak że superrewizja będzie już tylko formalnością.

(D. c. n.)

*) Listy te znalazłem w wiele lat później w archiwum Wojskowego Biura Historycznego. Skonfiskowane przy aresztowaniu przez Niemców nie żyjącej już dzisiaj s. p. Niedziałkowskiej — z aktami niemieckiej policji politycznej znalazły się w polskim archiwum.

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

IV.

NA MARGINESIE HISTORJI

Piątek, 26 października. — Pisałem wczoraj cały wieczór — dziś trochę odpoczywam i poprawiam rękopis. Jutro zaniosę do „Naprzodu“ — przypuszczam, że wydrukują. Nosiłem się z zamiarem napisania czegoś, w czym zawarłby się protest i bunt przeciwko zakłamanemu, przeciw tym patetycznym słowom, pustym jak bańki mydlane, napuszonym i wstrętnym, wobec gorzkiej rzeczywistości, jaką przeżywamy. Ale długo nie mogłem znaleźć formy, w jakiejby można było to napisać.

W niedzielę 14 października obchodzono setną rocznicę zgonu Kościuszki. Jak zwykle uartym zwyczajem — zorganizowano na Rynku pochód i manifestację, w której nie brakło i kosynierów, z kosami pożyczonymi z teatru. Poszedłem z Julkiem i Karolem posłuchać, może ktoś po męsku, otwarcie a odważnie przemówi, może jeden choć głos usłyszymy, któryby wywołać potrafił drgnienie serca. Ale uciekliśmy zaraz, po wysłuchaniu jednego mówcy, a gdyśmy owe drewniane kosy ujrzeli, takie nas obrzydzenie chwyciło, że chętnie cały ten

tłum z kosynierami razem rozpędzilibyśmy ręcznymi granatami.

Dławiło mnie obrzydzenie, paliła chęć powiedzenia prawdy wszystkim im w oczy, nie mogłem dać sobie wprost rady z potrzebą reakcji, której musiałem dać wyraz. Ale jak? Napisać tak, jak czuję i myślę? Mowy niema — choćby wydrukowali, z plamami białymi wyjdzie z pod cenzury. Kiedy już zrezygnowałem — gdzieś, głęboko poczęła się wwierać myśl, by jakąś alegorię, przenośnię wymyślić — jednak by napisać. I tak powstał „Sen“, na marginesie historii napisany — jakże jednak gorzki i rzeczywisty wobec dzisiejszego dnia.

„S E N“

Znany w szerokich kołach miasta wybitny artysta - rzeźbiarz zanurzył się w miękkich otchłaniach kanapki w „Michalikowej Jamie“ i popijając kawę rozmyślał z przyjemnością o mającym nastąpić odsłonięciu pomnika bohatera, którego kolosalną postać przez długie lata ciosał w marmurze. Artysta zmęczony był długotrwałym posiedzeniem architektów, radzących nad pytaniem, gdzie pomnik postawić, to też cisza południowa panująca w kawiarni, miły pół-

mrok i rozmarzająca kanapka pochyliła jego piękną głowę i artysta usnął. Śnił mu się długi, przerażający, a chwilami radosny sen.

Rynek. Przepyszne stare mury. Wysoko wystzelają baszty i wieżycy. Naokół szumi i kłębi się rozgwarzony tłum. Chwieją się poważnie sztandary, bogate transparenty, wieńce i szarfy, potężnie jęczy królewski dzwon. Pośrodku wielkiego tłumy, wśród zieleni i wieńców obrzymiemii płótnami jeszcze nakryta — unosi się bryła pomnika. Wreszcie po długotrwałem przemówieniu jednego z radców, zsunięto płótno. Oczom tłumy ukazał się Bohater. Stał spokojnie, dumnie na wysokim piedestale, z manifestem połańieckim w ręku. Wzrok ku górze wznie siony, zdawał się przysięgi jakoweś wielkie składać...

Tłum się zakołysał i cisnął się bliżej ławą głów. Już jakiś następny radca wznosił patetycznie rękę ku górze, by nową rozpocząć przemowę, mającą tłum wielki wzruszyć i podnieść, gdy nagle stał się cud...

Cud, nieprzewidziane w programie uroczystości zjawisko, niestychany w dziejach wypadek. Bo oto, gdy radca z patryotyzmem uniesieniem wezbranej piersi rzucił pierwsze słowo: Rodacy!... pomnik drgnął, bohater spiżowy pochylił głowę i wolno zstępować począł po granitowych stopniach piedestału. Tłum się zakołysał, cofnął, jakby uciekać chciał... Radca rękę wzniesioną opuścił, oślepiałe oczy wbił w poruszający

się posąg i zastygł w przerażeniu. Długa chwila upłynęła, zanim zebrany wielki tłum ocknął się z przerażenia i poznał, że jawi się przed nim święty cud!...

Naokół zebrani radcowie, filary miasta i kraju, patryjoci i męże stanu, eksministrowie i kandydaci na wiedeńskie teki oślupiałemi, strwożonemi oczyma spoglądali na postać bohatera, która zinnemi, żelaznemi oczyma ich mierzyła...

I cisza się stała na Rynku starym wielka.

O mało z rąk kosynierom nie powylały teatralne, drewniane kosy, a fotograf, co na najwyższem miejscu z aparatem kinowym stał, zapomniał kręcić korbą, by cud ten utrwalić na wieki...

Bohater długo wpatrywał się w tłum, wreszcie zapytał, nie rozglądawszy się snadź jeszcze po Rynku, tak dobrze mu znanym:

— Gdzie jest, obywatelu?

— Ekscelencjo... Naczelniku... — przyrywany ze wzruszenia głosem począł jeden z filarów miasta — wita Cię stary Twój gród, wawelski Kraków, Rynek, na którym przysięgę składałeś. Wita Cię ten sam, wierny zawsze lud krakowski, witają Cię te same wierne kosy... Naczelniku!...

Lecz bohater mu przerwał, albowiem żołnierskiem okiem rzuciwszy, przekonał się, iż kosy drewniane są i dalej pytał:

(D. c. n.).

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

— W jakim to czas, rodacy, dane mi jest znów mą ojczyznę miłą oglądać, zali znów mam przysięgę tu wykonać, że miecza nie złożę, póki kraj wolnym nie będzie?

— Naczelniku! W czas wielkiej wojny zeszedłeś do nas, wojny, co przewraca karty dziejów i nowe światy wskazuje! Europa w ogniu! Burzy się stary świat, nowe szlaki wyrębuje miecz i w ogniu Polska zbrojna wstaje...

Bohater słuchał uważnie. A gdy usłyszał o zbrojnej Polsce, szedł mocnym krokiem ku siwej grupce żołnierzy z białymi orzełkami na czapkach. Wypreżyli się przed nim i nieulekłym okiem patrzyli w kamienną jego twarz.

— Ktoście wy?

— Żołnierze trzech brygad legionów polskich, obywatelu Naczelniku!

Pojaśniała twarz Naczelnika. Uśmiech rozchylił mu usta, które łagodne się stały jak u dziecka. Raptem zwrócił się do radców.

— Powiedzcie mi rodacy, gdzie są owe brygady, gdzie pułki polskie, których żołnierzy młodych przed sobą widzę?...

— Naczelniku! Pułki te dwa przeszło lata były się na rubieżach kraju. W setkach bitew wstawiały imię Polski. Wielki był ich trud spełnianego obowiązku. Lecz teraz... teraz, gdy Ty przybyłeś, by może przewodzić im, wypadków dziejowym losem pułki te wcielone są w części do armii obcej, w części w obozach jako jeńcy!... Lecz Naczelniku — chwilowy to jest los żołnierza polskiego, bo wszakże gwarancje mamy...

Bohater spochmurniał. Ze zmarszczonej brwią słuchał, a gdy skłopotany polityk umilkł, zapytał cichszym głosem, nie tak pewnym i ostrym:

— Któż w pole je wywiódł, rodacy? Kto przewodzi żołnierzowi polskiemu?

Umilkli wszyscy naokół. Umilkli, jakby pytanie to na głowy ciężarem im spadło, pochylili je i stali w ciszy...

Aż popłynął szept, ni to łkanie, ni boleści głos...

— Niema Go! W obozie, w więzieniu!...

Przez tłum przebiegło westchnienie... nic... westchnienie tylko, westchnienie słabe, zduszone łękiem już w głębi piersi. Naczelnik wstał na stopień. Popatrzył na ten wielki tłum, na tłum niemy, milczący i wznosił rękę...

Tłum zastygł, znieruchomiał w oczekiwaniu.

— Waćpanowie, co znaczniejsi w kraju, pójďte ze mną, by ustanowić ratowanie ojczyzny... Lud niech wraca do domu, a ja wedle sił sprostać raz jeszcze zadaniu wielkiemu poprobuję... Waćpanowie, co znaczniejsi w kraju, pójďte ze mną!...

Następnego dnia w Polsce całej były dzwony. Radośnie, pełnemi tonami, rozgłośnie grały dzwony... Na zwycięstwo wielkie sprawiedliwości, na chwilę tę, w której Bohater Polskę wieść ku szlakom wolnym będzie. Snuły się dymami niebieskimi kadzidła wonne, grzmiały z ambon mowy podniesione i radować się naród w kraju od Bugu aż po Odrę...

Bohater zaś wiódł w gromadzie mężów.

co znaczniejszych w kraju drugi już dzień narady.

* * *

Trzeciego dnia kraj wrzał. Stronnictwa wszystkie, grupy polityczne, kluby, związki i partje w szumnych, podniosłych rezolucjach witały Wodza, Bohatera, cześć mu oddając i posłuch bezwzględny, poparcie zupełne uchwalając...

Zaś bohater przestał już radzić i zaczął myśleć sam z sobą, z duszą swą własną...

* * *

Przez następne trzy dni Bohater zniósł się ze wszystkimi stronnictwami w kraju, poznał ich programy i wytyczne cele, odebrał tysiące telegramów, adresów i setki tysięcy podpisów. Kraj uznawał w Nim jedynego przewodnika...

Bohater zaczął działać, a pierwszą Jego piękną sprawą była sprawa wojska.

* * *

Siódmego dnia pobytu Bohatera w kraju wszyscy reporterzy mieli już „interview“ z wielkimi ludźmi i kraj zaczynał się orjentować, po jakiej linii działania będzie kroczył Bohater. Wówczas jeden z bardzo poczytnych dzienników, o największym chyba w Polsce formacie, zaczął nieśmiało i bardzo „podyktowane przezornością i umiłowaniem ojczyzny“ uwagi czynić, że mimo najzupełniejszego zaufania do dróg politycznych Bohatera, mimo bezwzględnego posłuchu, nie należałoby by jednak, ze względu iż Naczelnik w ciągu lat stu stracił kontakt polityczny z krajem, nieco innych, tak gwałtownych środków używać w przedsięwzięciu dróg owych, ku celu prowadzącym... Nie krytykujemy tu bynajmniej postępowania Naczelnika, lecz radzimy z głębi, miłością sprawy przejętego serca...

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Osmego dnia tę skromną notatkę powtórzyło kilka pomniejszych pism, lecz zdawało się to tylko drobnostką, gdyż całe szpalaty owych dzienników były zapisane o tym, jak delegacje i stronnictwa hołd Bohaterowi składały, jak przepiękne i podniosłe a rzewne były te chwile. Jedno tylko pismo poświęciwszy nieco słów polityce orzekło, iż pewne metody działania Naczelnika nie odpowiadają dzisiejszym poglądom, mimo to jednak jest rzeczą pewną zupełnie, że metody te uznają rychło Bohater, jako do celu nie prowadzące..

* * *

Przez następne dwa dni kraj wrzał. Albo wiem Naczelnik zaczął postępować w sposób nadzwyczajnie skrajny, co jedno z pism o wielkim formacie w artykule „O istocie bohaterstwa“ — nazwało błędem kardynalnym, którego omal że nie można przebaczyć. Jednak wyrażało nadzieję, iż Naczelnik się opamięta i w dłuższym wywodzie starało się czytelników przekonać, że choć nie można odmówić Naczelnikowi miana bohatera — to jednak pamiętać należy, iż był to bohater z przed laty stu, a nie bohater chwili dzisiejszej, która wymaga „sprecyzowanych systemów myślenia politycznego i takiegoż postępowania“...

* * *

Dnia jedenastego kraj, zdawało się, że pod wrażeniem owego wielkiego momentu

zjednoczył się cały przy osobie Naczelnika — podzielił się już na dwa obozy. Jedni — uznając słuszość postępowania Bohatera, godzili się zgóry na wszelkie Jego kroki — drudzy, choć również tę słuszość uznawali, nie mogli się jednak zgodzić na metody owego postępowania.

* * *

Dwunastego dnia kraj był już jak dawniej podzielony na tę samą ilość stronnictw i wrzenie w kraju rosło. Tak nadzwyczajnego podniecenia dawno już nie pamiętano. Bohatera — który z drogi swej nie ustawał i kierował z pomocą kilku stronnictw sprawami dalej — zaatakowano już otwarcie, a jedno z pism w zapale obrazy swych politycznych hasła wyrzuciło ze wzburzonej piersi zdanie (o zgrozo!), iż lepiejby może dla kraju było, gdyby Naczelnik wcale z pomnika nie schodził i do spraw politycznych w kraju się nie mieszał...

* * *

Trzynastego dnia zdawało się, iż kraj za mienił się w jedno rozrzucone morze poglądów, ścierań politycznych, walk o hasła i programy, o metody i postępowania. Bohater — z jednej strony czczony coraz więcej i uznawany, zaczął odzyskiwać swe dawno utracone wpływy na lud, z drugiej — atakowany już teraz bez ogródek, choć za wsze jednak w bogatej ramie hołdów i

dziękczynień za swoje czyny z przed stu laty — za metody postępowania w chwili obecnej, za widoczną chęć oparcia się o lud i proletarijat — potępiany gwałtownie.

Zresztą przypominano sobie mimochodem, że przecież targa światem wojna europejska, a Bohater jest obywatelem amerykańskim czy też francuskim, wątpliwe więc, czy w obecnych warunkach będzie mógł krajowi służyć...

* * *

Dnia czternastego wywieziono Bohatera z kraju. Motywowano ten krok bardzo szeroko, za główny powód wskazując jednak obce jego obywatelstwo. Kraj westchnął głęboko...

Powsiało nawet wiele literatury o owych historycznych dniach czternastu, były nawet jakieś protesty, demonstracje i wybijanie szyb.

* * *

Artysta się przebudził. Przez długą chwilę nie mógł do siebie przyjść. Wypił kilka szklanek wody i wreszcie z trudnością sobie uświadomił, że przecież to sen, okropny sen... Wyszedł z cukierni i idąc wolnym krokiem, ze spuszczoną głową coś gorzko rozmyślał. Po kilkunastu minutach znalazł się w swej ogromnej pracowni.

Rozsunął zasłony okienne i przysiadł się pysznemu, marmurowemu pomnikowi Bohatera. Długo, długo napawał nim oczy swe... aż raptem porwał się i jednym uderzeniem schwyconego młotka roztrzaskał przepyszny posąg. — Rozpryski się na wszystkie strony białe odłamki marmurowe i roztrzaskany posąg Bohatera runął artystcie do stóp...

(D. c. n.).

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

V.

PRZEŁOM ŚWIATOWEJ WOJNY

Niedziela, 4 listopada.

Biegają dni, podobne do siebie, szare i nudne. Z nowin ważniejszych nic ciekawego, poza ogłoszeniem w ostatnim „Narodzie“ żądań Koła polskiego, sformułowanych przez Moraczewskiego. Koło polskie ma zażądać:

1) Interwencji, celem uwolnienia więzionych w Szczypiornie, Benjaminowie i Avelbergu legionistów i oficerów legionarych.

2) Bezstronnego, szczegółowego zbadania istotnych przyczyn ostatnich wypadków w Legionie, przywrócenia poszanowania dla poczucia prawa i honoru żołnierza polskiego, oraz normalnych stosunków.

3) Reaktywowania w polskim Korpusie Posiłkowym wszystkich oficerów i żołnierzy legionowych, którzy w związku z odnową przysięgi i wynikłymi stąd następstwami zostali uwolnieni z Legionów (Korpusu Posiłkowego).

4) Wcielenia z powrotem do Korpusu Posiłkowego wszystkich na własne żądanie zwolnionych oficerów i żołnierzy, którzy podania o zwolnienie cofną.

5) Stwierdzenia, że Polski Korpus Posiłkowy zostanie oddany do dyspozycji przyszłemu rządowi polskiemu.

6) Przyznania wszystkim oficerom i żołnierzom legionowym przeniesionym do c. i k. armii tych rang i stopni, które posiadali w Legionie (Korpusie Posiłkowym)... wym)...

Czy to jednak zmieni w czemkolwiek sytuację?... Przecież nie wrócimy do szeregów, bo tam jeszcze bardziej bylibyśmy skrepowani, jeszcze bardziej bezsilni. Tylko coraz ostrzejszą pracą wewnątrz kraju, upartym a cichym zbrojeniem się, przystrojeniem kadr peowiackich — możemy się ratować w godzinie decydującej.

Poniedziałek, 5 listopada.

Mój „Sen“ udał mi się. Wydrukował go „Naprzód“ w trzech odcinkach, wszyscy znajomi gratulują mi. Swoją drogą jak zupełnie inaczej czyta się swoją pracę, która już otrzymała kształt czcionek drukarskich. I jaka zawsze świeża, nowa radość...

Wtorek, 6 listopada.

Jednej rzeczy nie jestem w stanie zrozumieć, nie mogę pojąć: jakim cudem austriackie „trepy“ potrafią tak tłuc Włochów. Ostatnie dni pełne są wiadomości z „taljańskiego“ frontu. „Trepy“ idą naprzód, Tagliamento przekroczone, komunikat podaje o wzięciu 200 tysięcy jeńców i 1800 dział. Klęska Włochów oczywista — ale czyżby spowodowali ją „awstryjcy“. Niemożliwe to przecież — tam musi być

pełno dywizyj niemieckich, którym Austriacy asystują. Dzisiejszy komunikat mówi zresztą o „austro-węgierskich i niemieckich“ dywizjach. To stawianie na pierwszym miejscu Austriaków musi niemiaszków doprowadzić do ostrego szafu. Z drugiej strony — na froncie francuskim Niemcy musieli oddać Chemin des Dames i cofnąć się na dużym odcinku. Cóż tam musi być za piekło, gdy rozpoczyna się uderzenie jednych czy drugich?...

Sobota, 10 listopada.

Osobiste moje sprawy ze zdjęciem mundurów związane — nareszcie ostatecznie się zdają klarować. W najbliższych dniach odejść mam do szpitala na jakąś durną obserwację, skąd dopiero wyznaczą mnie na komisję superrewizyjną.

Nie bardzo mi się ten szpital uśmiecha — ale co robić?

Gonię za temi sprawami co dnia nieomal — a tu mimo dzieją się sprawy olbrzymiej wagi, zdarzenia walą się coraz większe i coraz bardziej doniosłe. Wschód rozpalil się na dobre, Kiereńskiego spławiono że ledwie zdołał uciec, władzę w Petersburgu objął Lenin i Trockij, maksymaliści rosyjskiej rewolucji, zwani tam „bolszewikami“. Lenin wystąpił z propozycją natychmiastowego zawarcia pokoju, w polityce zaś wewnętrznej zapowiada radykalnie: zniesienie własności prywatnej i całkowitą socjalizację produkcji. Pomijając sprawy wewnętrzne — objęcie przez Lenina władzy kolosalnie odbić się będzie musiało na losach wojny. Pokój, zawarty na wschodzie — to koncentracja na Zachodzie wszystkich niemieckich wojsk i decydująca rozgrywka z Francją i Anglią. Bę-

dzie to coś strasznego, boć tamci przecie ulec nie będą chcieli.

Niedziela, 25 listopada.

Przyszedł na mnie ciężki teraz czas, cała nadzieja, że prędko złe się skończy.

Jestem więc w szpitalu — a właściwie nocuję tam. Przydzielono mnie — nie wiem dlaczego — do epidemicznego szpitala w Łagiewnikach, dobre kilka kilometrów za miastem. Wydarłem tam z dość dobrą miną — ale kiedy stanąłem wobec tych okropnych baraków, pełnych jakichś straszliwych, zarośniętych, kaszlących dziadków austriackich, mówiących i wrzeszczących wszystkimi językami starej Austrii — serce we mnie zdrętwiało i duch upadł. Ale się postanowił nie dać. Po zbadaniu przez lekarza, któremu wręczyłem list od Bobrowskiego — wywaliłem całą moją sytuację i to że pobyt w tej trupiarni przeraża mnie. Dostałem wobec tego stałą przepustkę do miasta i po skaptowaniu sobie miłej i młodej pielęgniarce z sali, do której zostałem przydzielony — jakoś mi się dni ułożyły, noce zaś gorzej. Gorzej — bo na noc muszę być w szpitalu, poczem po wizycie lekarskiej — od razu gonię do Krakowa. Nie jest to spacer zbyt przyjemny, bo pluchy akurat straszliwe, błoto na szosie jak za ś. p. króla Chrobrego — ale jakoś bohaterstwo to znoszę. Gorzej jest wieciorami, gdyż wrócić muszę najpóźniej na 9-tą, po nocy straszliwie ciemnej, w błocie po kostki. Jednak trwam tak przeszło już tydzień, liczę każdy dzień, gdyż mam w owym epidemicznym szpitalu przebyć jeszcze dwa tygodnie. Później superrewizja — i może wreszcie będzie koniec.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Wtorek, 27 listopad.

Trudno mi teraz pisać, bo nieustannie gonić muszę za różnymi drobnymi sprawami, które mają mi ułatwić pomyślnie ów exodus do szpitala — ale walą się takie nowiny, że nie sposób je przemilczeć. A więc wojna na wschodzie się kończy. Leninowcy po opanowaniu ostatecznie całej władzy, po wyróżnieniu mnóstwa ludzi w Petersburgu — ustabilizowali się i Trockij, komisarz spraw zagranicznych wystąpił z oficjalną propozycją zawieszenia broni i zawarcia pokoju. „Kongres rad generalnych delegatów robotników, żołnierzy i chłopów z całej Rosji — notyfikuje Trockij — powołał w dniu 8 listopada nowy rząd dla całej Rosji, którym jest Rada Komisarzy Ludowych. Na przewodniczących rządu wyznaczono Włodzimierza Iljicza Lenina. Politykę powierzono mojej pieczy przez zamianowanie mnie komisarzem ludowym dla spraw zagranicznych.

Przedkładając panu ambasadorowi do rozważenia dosłowne brzmienie uchwały rad generalnych delegatów robotniczych, żołnierskich i chłopskich, zawierającej pro pozycje rozejmu i pokoju demokratyczne-

go, opartego na zasadach niepodległości narodów i ich prawa do samopostanowienia o swym rozwoju, pokoju bez aneksji i kontrybucji, mam zaszczyt proponować panu, aby uważał wspomniane pismo za propozycję natychmiastowego rozejmu na wszystkich frontach i natychmiastowego rozpoczęcia rokowań pokojowych.

Rząd republiki całej Rosji czyni tę propozycję wszystkim narodom i wszystkim rządóm“.

Jednocześnie z tem rozpoczyna się całkowita już dezorganizacja i anarchja w wojsku rosyjskiem. Front ponoć pustoszeje — żołnierze nie czekając na oficjalne zawarcie zawieszenia broni i pokoju — masowo poczynają opuszczać okopy. Lada dzień przed Niemcami będzie dużo rosyjskiego powietrza.

Piątek, 30 listopada.

Pokój, na wschodzie stał się już faktem. Nadzwyczajne wydania poranne dzisiejszych pism przynoszą wiadomość o przyjęciu przez Austrię i Niemcy rosyjskich propozycji pokojowych. Trockij wydał odezwę, którą kończy: „Precz z kampanją zimową, niech żyje pokój i zbratanie się lu-

dów“. Ze tej kampanji zimowej wojska rosyjskie i takby nie doczekały — potwierdzają wiadomości z frontu, gdzie całe pułki opuszczają okopy.

Piątek, 7 grudnia.

Piszę po kilku dniach, odetchnąwszy trochę od mego obseknutego szpitala, z którego zdołałem się wyrwać na kilka dni. We wtorek 4 grudnia dostałem depeszę od Stacha Wolskiego o śmierci Jaska Wocalewskiego. Jakaś choroba widocznie zmo gła słabiutkiego Jaska. Zaraz też, po okazaniu depeszy — otrzymałem trzydniowy urlop ze szpitala i wieczorem wskoczyłem do pociągu, bez żadnych dokumentów podróży, tylko z kartką szpitalnianą i depeszą w rękę. Podziwiałem też niemiecką służbę kolejową, głęboko ludzkie, mimo przecie tyleletniej wojny ich ustosunkowanie się do życia. Gdy który z nich miał jakowś wątpliwości co do mej kartki urlopowej ze szpitala — pokazanie depeszy rozcinało wątpliwości. Niemiec salutował i odchodził.

W Łodzi po pogrzebie nieszczęsnego Jaska, którego zabił tramwaj — wieczór spędziłem z chłopcami. Stara nasza gromadka powiększyła się, gdyż wrócił ze Szczypiorna Zygmunt Chabowski i obydwa Pacholscy. Wszyscy wraz z Edkiem Pfeifferem zapamiętałe pracują w skautingu.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Po dwu dniach spędzonych w Łodzi — powrotem znalazłem się w Krakowie, gdzie szumi i wrze od nowin i nowinek. Szyscy mówią tylko o zaprzestaniu działań na froncie wschodnim, o rozejmie, o planach i możliwościach jakie może wyzniesć nowowytworzona sytuacja wojenna — polityczna. Krach wojenny, przebieg — przychodzi znów od wschodu, tak byt stamtąd uderzyły pierwsze pioruny wojny. Zawalenie się bowiem rosyjskiego frontu i rozejm — przyniata od razu również i Rumunję, która musi wobec tego zerwać z Centralą rozejm i pokój. Co będzie wobec tego na Zachodzie?... Miare ciężkości najbliższych tygodni czy miesięcy daje już Clemenceau, który mimo fałszywego położenia koalicji spowodowanego odpadnięciem Rosji i Rumunji — mówi o bezwzględnej walce do końca, do zwycięstwa.

Czwartek, 13 grudnia.

Nareszcie jestem u siebie, w „Szarej kamienicy“ w moim pokoiku. Dzisiaj skończył się termin „kwarantanny“, cholerny szpital mam już poza sobą. Dostałem papery, jednak superrewizja się odwlece pierwszych dni stycznia. Będzie to je-

dnak już czysta formalność, to też z całą satysfakcją przebrałem się w przywiezione z Łodzi cywilne ubranie. Maciejówkę jednak zostawiłem, tylko zamiast siwej z orzelkiem — mam granatową, cywilną. Zaden kapelusz, nic nie umywa się do maciejówki.

Piątek, 14 grudnia.

Przygotowuję się do wyjazdu, do Łodzi, załatwiam różne sprawy, niestety jadąc już w cywilu nie będę mógł nic do Warszawy przewieźć. A szkoda, gdyż kontakt z Warszawą musi być tem żywszy im ostrzej i radykalniej przejawia się jej stanowisko. Mimo Radę Regencyjną, mimo powołany teraz do życia gabinet ministrów Kucharzewskiego z operetkowemi ministrami „spraw wewnętrznych“, „aprowizacji“, „przemysłu i handlu“, (brak jeszcze tylko „ministra wojny“) — Warszawa pokazuje aż nadto wyraźnie co myśli i czuje. W poniedziałek — jak donosi „Naprzód“ — doszło do poważnych zajść, których bezpośrednim powodem była niezadowolona sprawa więzionego Komendanta i sprawa Szczypiorna.

„Tym razem — donosi „Naprzód“ — na ulice wyszła młodzież, ażeby wobec Rady

Regencyjnej i gabinetu manifestować na rzecz Piłsudskiego i Szczypiorna. Zajścia rozpoczęły się przed południem i rozgrywały się w połowie ulicy Marszałkowskiej aż do Wspólnej i po przecznicach.

Policja otrzymała posiłki z prezydium przy Alejach Jerozolimskich i z ekspozytury przy ul. Chłodnej.

Interwenjowało wojsko.

Na Miodowej tłum usiłował przedostać się pod pałac arcybiskupi, aby demonstrować przeciw członkowi Rady Regencyjnej, arcybiskupowi Kakowskiemu. Tam go jednak nie dopuszczono.

Pod pałacem Kronenberga, gdzie na pierwszem piętrze od frontu urzęduje prezydent ministrów p. Kucharzewski, zebrali się w znacznej liczbie demonstranci, śpiewając „Gdy Naród do boju“. Doszło jeszcze do zajść w Alejach Jerozolimskich i u zbiegu ich z Nowym Światem. Dokonano w ciągu dnia kilkudziesięciu aresztowań.

Podczas demonstracji wszędzie rozrzucano odezwy, zaopatrzone tytułem „Żądamy odpowiedzi!“ Domagano się w nich, zwracając się wprost do Rady Regencyjnej i gabinetu, odpowiedzi na palące kwestje Szczypiorny i Komendanta Piłsudskiego...

Informacje te są szczupłe i związane ze względu na cenzurę — ale jak mówił mi w „Kulturze“ Wasilewski, który w „Naprzodzie“ daje notatki o sprawach Królestwa — manifestacje warszawskie miały bardzo poważny charakter. Ma być sporo rannych.

Pozatem pokój na wschodzie robi się na całą parę. Do Brześcia przybliżyli już delegaci rosyjscy i państw centralnych.

Czwartek, 20 grudnia.

Jestem już w Łodzi — po ostatnich tygodniach szpitalnianych odpoczywając w domowych pieleszach w całej pełni. Staram się wypocząć jak najbardziej, gdyż po powrocie do Krakowa czekać mnie będzie orka porządna. Mając spokojną już głowę, muszę się wziąć ostro do roboty, choć i tutaj w Łodzi nie próżnuję. Łatam jak mogę stosunki między skautingiem a P. O. W., jako że skauci boczają się trochę na powia ków.

Sprawy osobiste nie małą w tem odgrywają rolę. Referowałem już Stefanowi Szele tyńskiemu sytuację ogólną, powiedziałem co się robi na gruncie krakowskim, jaka musi pójść akcja i zdaje się — że wygląda tejsze stosunki.

Łódź — tak niedaleka od Szczypiorna — żyje bardzo silnem echem od obozu. Po ostatnich zajściach, po awanturach i przyjęciu pewnej części chłopców do „Wehrmachtu“ na skutek łajdackiej akcji ks. Kwapińskiego — resztę mają przewieźć do Łomży.

Był w Szczypiornie minister Staniszewski wiele obiecując, pozatem ponoć sprawy wojska ma objąć gen. austriacki Rozwadowski. Na odcinku wschodnim pokój jest całkowity — zawarto zawieszenie broni do połowy stycznia.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

1918. Poniedziałek, 7 styczeń.

Przecie jestem całkowicie wolny, dziś się ostatni akt superrewizji, na podstawie której zwolniony zostałem z Legjonu. Skończyła się ta nieznośna, półroczna katorż — wreszcie mogę robić ze sobą, co chcę, pracować swobodnie.

Było się to w koszarach na Siemieniowiznie, gdzie załatwiał ostatecznie surową wizję jakiś gruby lekarz, Czech, mówiący z nami z czechu po polsku, „odwalajmy tę całą komedję z wyraźnym znużeniem, co nie przeszkadzało mu niejednemu z delikwentów uznać za zdolnego do pracy „szerszej“ ojczyzny austriackiej.

Byłem bardzo też pewien siebie, bo przecież a prawdą nic mi przecież nie brzęczało, a szwank na zdrowiu mógłby najwyżej przynieść mi szpital ostatni — to gdy gruby Czech czytając moje papiery, przeczytał głośno imię Wacław z wyrazem bliskim życzliwości za okularem — spieszenie dodałem: tak, to imię czeskiego i polskiego króla...

Wtedy zdecydowało. Gruby Czech uśmiechnął się już wprost do mnie i odważył podać wniosek superrewizyjny. I która rzecz pożytkowi wiedzy historycznej...

Wtorek, 23 styczeń.

Trudno mi teraz pisać o różnych sprawa-

wach ważniejszych w dzienniku, bo gdyby wpadł w ręce draniasków żandarmskich przy jakiej dla nich „okazji“ — to mogłyby powstać z tego grube konsekwencje. Tyle tylko mogę napisać, że „amcę“ oswoiła w najbliższym czasie czeka mnie szereg wyjazdów, głównie do Galicji.

W polityce, w ogólnej sytuacji — idą rzeczy w kierunku dla nas pomyślnym. Mimo zawarcia rozejmu na wschodzie — na froncie stoją duże jeszcze siły niemieckie i austriackie i odejść stamtąd nie mogą, bo przecież od zarazy bolszewickiej muszą się mocnym kordonem oddzielić. To przeszkadza im, co mogło i miało pójść na zachód, poszło już od wczesnej jesieni, kiedy front rosyjski zamarł i przestał być groźnym. W Austrii natomiast coraz gorzej — strajki powszechne, głodowe manifestacje, trzęsą się całe monarchie w posiadach. Niemcy się jeszcze trzymają — ale i tam źle, głód straszliwy, końca zaś wojny na razie nie można się spodziewać, gdyż stanowisko koalicji, mocno podparte przez siły amerykańskie — jest nadal twarde. Nic — tylko chcą doprowadzić do zwycięstwa i nie ma wątpliwości, że doprowadzą.

Z Rosji przychodzą wiadomości coraz dokładniejsze o formujących się tam polskich korpusach, z których najsilniejszy ma być na Białorusi Dowbora-Muśnicki.

Względem ważnej tam sprawy dzieją się i kontakt ze wschodem nawiązuje się coraz silniejszy. Ostatnie wiadomości podają, że Dowbór — Muśnicki „zdolał zgromadzić w Mińszczyźnie całą swą armię wciąż wzrastającą w siłę i dochodzącą obecnie do liczby trzech korpusów“...

Wtorek, 29 styczeń.

Ciepło tak, jak gdyby wiosna już stała za progiem. Powietrze lekko zamglone, słońce przygrzewa, drzewa nagie jeszcze i czarne tkwią w ciszy słonecznej, jak gdyby uśpione. Ludzi po plantach włości się mnóstwo, radują się ciepłem, które pozwoli oszczędzić im nieco węgla, na wagę niemal złota idącego i uśmiechają się do słońca i do niedalekiej wiosny, jakby od niej spodziewali się nowych, lepszych dni.

A tymczasem daleko jeszcze do nich. Z frontu włoskiego przyszły wiadomości o dużych stratach, jakie poniosła tam ostatnio wiara z 1 i 5 pułku. Lis-Kula ranny (11 ran) — ponoć zadziwił „trepów“ niesłychaną swą brawurą i odwagą. Na szczęście legunów na włoskim froncie zostaje coraz mniej, coraz więcej ich melduje się w Krakowie. Stąd wsiadają w cywila i idą w szeroki świat na robotę.

Wtorek, 5 lutego.

Coraz lepsze, coraz radośniejsze nowiny. Ledwie udało się z trudem i móżdżem zażegnać powszechny strajk w Austrii — w Niemczech zaczyna się gotować, jak gdyby rewolucja lada dzień miała tam wybuchnąć. Od kilku dni fala olbrzymich strajków ogarnia wszystkie ważniejsze miasta. Ogłoszono stan wojenny, dzienniki zawieszono, w Berlinie strzały i starcia — jednym słowem...

wiem gotuje się tam i wrze całkiem poważnie. Nie na długo Niemiaszki z tym nowym kłopotem będą mogli wytrzymać. Hinterland może dobić front.

Czwartek, 7 lutego.

Przecież musi z tego coś wyjść. Wszyscy już godzą się na Niepodległą Polskę. I koalicja i Niemcy i Austria i Rosja. Nikt nie kwestionuje, nikt nie zaprzecza — tylko że my sami musimy ją chwycić w nasze dłonie. O ten drobiazg narazie chodzi najbardziej.

Świetnie Trockij na brzeskich naradach odpowiedział Kuhlmanowi. „My z naszej strony — deklarował — uznajemy samodzielną i niezawisłość państwa polskiego w pełnej rozciągłości, jednak nie możemy przyznać oczu na fakt, że ta samodzielną jest tylko pozorna, dopóki Polska znajduje się pod rządami armii okupacyjnych. Właśnie dlatego, że uznajemy samodzielną narodu polskiego i jego państwa, nie możemy bez naruszenia samodzielną narodu polskiego uważać za przedstawicieli polskiego narodu tych przedstawicieli, którzy zostali ustanowieni wolą okupujących władz. Uznajemy w całej rozciągłości — powiada dalej Trockij — i bez ograniczeń prawo polskiego narodu do egzystencji samodzielną i niezawisłej, jednakże nie chcę zapominać o tem, że państwo polskie jest obecnie obsadzone przez obce wojska i że tak zwany rząd polski może się poruszać tylko w obrębie granic, które mu zostaną zgóry wyznaczone.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Albo państwo polskie jest państwem, natenczas musi mieć geograficzne granice. Jeżeli królestwo polskie jest królestwem, natenczas musi mieć króla. Jeżeli państwo nie ma ani granic, ani króla, natenczas nie jest państwem ani królestwem. Mażesz tu do czynienia ze stosunkami jeszcze statecznie nie ukształtowanymi.

Albo już my w tym, aby się ostatecznie one kształtowały...

VI.

WIEŚCI Z WŁOSKIEGO FRONTU

Piątek, 8 luty.

Ciepły, przesycony mgłą i nikłymi promieniami słońca dzień przedwiośnia. Niby po początek lutego, zima kalendarzowa w podzieleniu pełni — a tymczasem przedwiośnie rozwesela ludziom twarze, budzi radość nadzieję odnowy w przyrodzie, nadzieję ciętych dni, w których łatwiej będzie nędze wojenną przeżyć i przetrzymać...

A jest ona coraz bardziej potworna, coraz bardziej niszcząca. Jeszcze tu u nas w Polsce, mimo rekwizycji, mimo udrek i ściskania przez żandarmów każdego worka mąki — przecież się ludziska bronią jak mogą. Wrogi stosunek do interesów walczących państw ułatwia, umoralnia sabotaż, miśnięci któremu jeszcze jako tako koniec z oparcie się wiąże i żywność zdobywa — ale co dzieje się w Austrii, a zwłaszcza w Niemczech?... Tam przecie w Niemczech, gdzie dojadają, głodzą się przez tyle lat, cierpiąc świadomie, z bohaterstwem godnym podziwu. Ale i tam już kończy się kres ludzkiej wytrzymałości. Ostatnie strajki, zaburzenia, awantury wynikły na tle głodowem, buntują się ludzie głodni, wynędzniali, wyzupani i zrozpaczeni, ludzie przeklinający wojnę.

I rwie się to wszystko, wali ze wszystkich stron. Przymierze austro-niemieckie dawno już wygasło, Austrii już dawno brak tchu. Przecież tylko na tem tle możliwe jest by

się pisało o Rzeszy Niemieckiej zupełnie jawnie i otwarcie, iż głód i rewolucja ją kończy. Informowanie o tem własnego społeczeństwa ma na celu pokazanie, że i w Niemczech jest źle, że stosunkom w Austrii nie jest winna biurokracja, korupcja i anarchia — a prosto, że niema chleba, maki, cukru, węgla, mięsa i mleka. To też „Naprzód“ dzisiejszy w artykule wstępnym przez cenzurę nieskreślonym, pisze o starej Norymberdze, która stała się centrum ostatnich strajków i zaburzeń, że „dziś Norymberga była jedną z najsilniejszych placówek strajku Rzeszy Niemieckiej, strajku protestującego przeciwko zachłannym aneksjonistycznym instynktom całego obozu junkierskiego“... zaś „zdala twardy głos Lloyd George'a niezłomnie zapowiada, że póki górą będzie ideologia junkierska — świat nie zna spokoju. I w słowach ostrych jak stal tę ideologię potępia“...

Tak się pisze już dzisiaj jawnie całkiem i otwarcie.

Sobota, 9 luty.

Zdumiałem się tak, że aż cofnąłem się o krok, gdy po dzwonku wejściowym — ukazała się w drzwiach czarna, opalona, błyskająca białymi zębami gęba Władka Drymera. Skąd, jakim cudem, jakżeś się znalazł tu w Krakowie?...

Nie nastarczyło opowiadań. Wiedziałem, że Władek jest na froncie włoskim, że jako królewski miast w Szczypiornie siedzieć, czy zapaść gdzieś w teren — dostał się przez dziwne jakieś nieporozumienie na front włoski — ale napróżno zachodził w głowę, jak się to stało. Teraz Władek opowiada, gęba mu się nie zamyka, cieszy się jak dziecko, a że przywiózł z Włoch mnóstwo świetnego sera, z dziurami jak pieść, pulenty i jeszcze jakowychś smakołyków — z obiadu, gdzie się spotykamy co dnia w inteligenckiej kuchni z Julkiem Neumarkiem i Karolem Kiedrzyńskim — idziemy do Karola. On też jakąś żywnościową prze

syłkę dostał z Lublina — więc uczta zapowiada się na cały wieczór.

Zbiórka u Karola na Bernardyńskiej o 5-ej. Zapadał powoli zmrok. Zanim na maszynie ugotuje się herbata, zanim się „uczta ubogich“ przygotowuje — Władek ma mówić. Pierwszy to przecież w naszym gronie goniec z wieściami, z tamtych, z dalekich stron.

Mrok w pokoju gęstnieje, drzewa pod wawelskimi murami stają się coraz bardziej skupione i zwarte, noc je powoli obejmuje czarnymi skrzydłami — jeszcze tylko wyraźnie rysują się baszty i potężny masyw Zygmunto夫斯基 zamku, wznoszące się majestatycznie nad Bernardyńskim placem. Co chwila dochodzi dźwiękliwy głos tramwajów, zegar na wieży bije kwadrans długo i przeciągle. Leżymy na łóżku Karola, Władek wtulony w stary jakiś fotel — zaczyna swą opowieść:

Lipcowe dni, przysięgową tragedję, przeżyłem zdala od 5 pułku, zdala od wiary, wywożonej za druty szczypiornińskiego obozu. Byłem w łódzkiej, pruskiej szpitalu dla zakaźnych, gdzie leczyłem wołyńską malarię.

Stąd odesłany, jako rekonwalescent do Kamieńska, zostałem tam zakwalifikowany do „superrewizji“, która odbywała się ponoć w Krakowie. Po dłuższej wszakże „garniturce“ zamiast do Krakowa — odstawiony zostałem pod konwojem — do Polskiego Korpusu Posiłkowego w Przemyślu.

Ze zdziwieniem przejeżdżaliśmy z kilkoma innymi legunami Kraków, nie wiedząc, dokąd prowadzi dalsza nasza droga, pytając się wzajem, dokąd nas wiozą własne „kanarki“?

Sytuacja zaczęła się wyjaśniać dopiero pod samym niemal Przemyślem. Wagony obchodził jakiś plutonowy o pierwszobrygadowych sympatiach, informując na boku żołnierzy I Brygady, że wiozą nas do Polskiego Korpusu Posiłkowego, dokąd się żołnierzy ściga choćby ze szpitala, byleby to wojsko jakoś sklecić, pozory siły swego ugodowego stanowiska zachować.

W Przemyślu ponoć znów do przysięgi nakłaniają, opornych aresztują, odsyłając następnie grupami do Szczypiorna. Mówił pozatem ów plutonowy, że z I Brygady pa-

dło hasło, aby nie dać się zamykać, kto jeszcze nie dostał się za druty — by wiało do swych rodzinnych stron, bo wkrótce rozpocznie się nowa robota.

Gdy transport nasz znalazł się na dzieżnińcu koszar w Przemyślu — postanowiłem znaleźć chętnych do niezwłocznego stąd wiania. Obok przecież, w jakimś forcie Siedliskach przebywały resztki 5 pułku, stara wiara, która odmówiła dalszej służby w Legjonach, zgłosiwszy na znak solidarności ze Szczypiorniakami podania o przeniesienie do wojska austriackiego. Wśród swoich znajdzie się rada co dalej robić, dokąd i za jakimi dokumentami wiać.

Skupiła się dość znaczna gromadka, postanowiliśmy wspólnie skorzystać z najbliższej okazji, gdy zrobi się zamęt przy rozdawaniu posiłku. Za chwilę niedługo, gdy czujność przydzielonych do nas żandarmów-konwojentów stępiła się rumem, a wesole wyścigi o porcje i dolewki przy kuchniach na dobre się rozpoczęły — sforsowała się grupka oddziału, udający się rzeź koło do kąpieli. Komendę objął wyszczerbiony „starszy frajter“, który miał sforować bramę do wyjścia bez przepustki. Udało się to gładko, rekrut zdumiał, gdyśmy mu ostro przemówili i puścili. Po godzinie nie meldowaliśmy się już w 5 pułku.

Jakże smutne były te resztki pułku „zuchowatych“. Wiana tryskająca zawsze humorem, pełna temperamentu i życia — teraz smętna, niepewna dalszych losów, zafrasowana. Podjąwszy odważnie decyzję, czeka teraz na obce rozkazy, które niewiedzą, kiedy i dokąd ją zawiodą.

Zameldowałem się u por. Styka-Stachiewicza. Cieszył się, serdecznie się witał z ostatnim wołnym jeszcze królewakiem swej kompanii, obiecując postarać się o jakieś dla mnie dokumenty. Na razie przydzielony zostałem do I kompanii I baonu 5 p. p., której komendantem był ppor. Da Browiecki, baon prowadził por. Styk-Stachiewicz, pułk kpt. Olszyna-Wilczyński.

Na drugi dzień przychodzi rozkaz odmarszu dla 1 p. p. I brygady. Wraz z nimi jedzie część królewaków, którzy w różny sposób powykradali się z Przemyśla, lub z transportów szczypiornińskich. Dokąd jadą — nikt tego nie wie...

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Przychodzi wreszcie i na piątek kolej jazdy. Dnia 25 września odmarsz z Sielisk do Przemyśla. Bolesny, ciężki, niepośny widok tych świetnych do niedawna kompanij, teraz z kijami zamiast karabinów a ramionach. Wiara idzie twardo, bruk łuchodudni pod żołnierskim krokiem, ciałdy zaś krok, zbliżający do budynku c. k. komendy Legionów, przyspiesza bicie żołnierskiego serca. Już blisko gmach komendy. Chłopcómrew uderza do głowy — ściskają w garści kurczowo przyszykowane kije. Załamują się, urywa jakoś nieoczekiwane zwykła żołnierska piosenka. Chwila niepokojącej, przazniącej ciszy... Naraz... wybucha żywiołowo, całą potęgą młodych, wzburzonych Persi żołnierskich hucząca pieśń „O czesć nam panowie, magnaci“... Podniosły się łuski, prysnęły w kierunku gmachu kije... kiesz c. k. figury uciekają z frontowego zejścia, z okien wyjrzały blade, niespokojne twarze.

Tak przemaszewaliśmy Przemyśl. Na dworcze, na bocznicę kolejowej stoi szereg wojennych wagonów. Wagony brudne, po przeprowadzonej dezynfekcji — ubabrane

wewnątrz wapnem, jak doły, do których wrzuca się trupy zarażonych.

Nikt do nich nie wsiada. Wiara stoi, klnie, powoli jednak młodość zwycięża — humor powraca. Przy wagonach zbierać zaczęli się grupki ludzi. Dziewczęta przynoszą trochę kwiatów, czekoladę, cukierki, uczniaki zaś taszczą skądś całe naręcza ziemni. Zaczynamy ubierać wagony, które za chwilę nabierają odmiennego wyglądu. Pociąg wygląda jakby nim wyjeżdżano na majówkę. To jednak nie wszystko... Uczniakom polecono wyszukać kredy i wnet wagony pokrywają się strzeleckimi orłami, różnymi karykaturami i napisami: „Niech żyje niepodległa Polska“, „Niech żyje Komendant Piłsudski“, „Precz z c. k. komendą Legionów“, „Precz z N. K. Enem“...

Dotąd nikt jeszcze wagonów nie zajął, ale że zaczęto nas przynaglać — trzeba się było zająć urządzeniem wewnątrz. Rozpoczęło się więc myśzkowanie po stacji i wojskowych magazynach, jedni zajęli wartę przy magazynach rozmowami i kawałami, inni wynosili słomę i siano. Dopiero po wyładowaniu podłóg wagonów — zdecydowała się wiara zająć miejsca. Wreszcie, po

blisko trzygodzinnem wyczekiwaniu i wagonowaniu — o 4 po południu pociąg ruszył wśród ogłuszających manifestacyjnych wrzasków przeciw c. komendzie Legionów, austriacko-pruskim pacholcom, N. K. N.-owi, Sikorskiemu i całemu draństwu i głupocie polskiej ugody z zaborcami.

Pociąg ruszył, wioził nas na nowe, nieznane drogi...

W małym pokoju Karola jest już ciemno zupełnie, lekki tylko blask z maszynki migotliwej, nierównej rozsiewa cienie. Woda już syczy, trzeba ją odstawić. Ale nikt się nie rusza, woda syczy coraz głośniej, wrzaskie zalewa czajnik i ogień gaśnie. Jest ciemno zupełnie, słaby odbłask latarni rzuci trupie, zielone światło na skos okna i zawieszony nad łóżkiem wyblakły, kolorowy dywanik. Z placu, gdzieś od Grodzkiej, dochodzi zgrzyt tramwajowych kół...

Władek mówi dalej:

Tak jedziemy do galicyjskiej granicy, gdzie sprawa królewaków miała być rozstrzygnięta. Gdyśmy się jednak tam znaleźli, Styk zakomunikował, że z rozkazu kpt. Wilczyńskiego królewacy mają jechać dalej razem.

W południe stajemy w Oświęcimiu, poza nami już polski kraj. Jaki taki spogląda po za siebie, smutek zagościł w oczach. Wagony ogarnęło milczenie, choć dzień był wesoły, pogodny i słoneczny.

W turkocie kół, w zgrzycie hamulców —

mijały tak stacje i miasta, mijały kraje i prowincje austriackiej monarchii. Ale żołnierz już się otrzasał, już ciekawie się wokół rozgląda, młoda dusza nie poddaje się zgrzytotom myśli. Z potrzeby, czy zrodzonej ku Austriakom przekory — legną się „odkuwa“. Na każdej więc stacji, choćby na minutę pociąg stanął — musi coś zgiąć. Tu kopiec siana, w mig rozebrano, tam ławki z przed dworca, ówdzie piecyk z poczekalni, czy krzesło nieomal z pod siedzenia pana naczelnika. Potem trochę przybyło wieszaków w wagonie, aby się plecaki i płaszcze nie poniewierały pomiędzy nogami, przybyło paliwa, jest nawet duże lustro. Anibys poznał teraz c. k. wagony, które z Przemyśla w długą ruszyły drogę.

Przez Przerów na Wiedeń i Polten, dojeżdżamy drugiego dnia wieczorem do Amstetten. Gorączka zdobywania sprzętów już minęła, zato wszędzie, gdzie choćby na krótko pociąg się zatrzymał — wiara musi coś zwiedzić. Służba kolejowa klnie, krzyczy, awanturuje się — ale musi czekać, musi transport być cały.

Następnego dnia przebudzili się żołnierze w Salzburgu, wokół gór wysokich, bielejących śniegiem po szczytach. Po jednym wysuwamy się z wagonów, kierując się do budynku dworca, za chwilę wyrosły się nieomal wszystkie wagony, ale Salzburg nie powitał nas gościnnie...

(D. c. n.).

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Wiadze dworca, poinformowane już o nadzwyczajnej lotności tego osobliwego transportu, który wszędzie się rozplątał, ułatwiał i wszystko zwiedzał — obsadziły żandarmami wszystkie wyjścia. Zatem — trzeba było wrócić, ale na chwilę ku klątwom i złorzeczeniom — długi sznur legunów ciągnie torem kolejowym poza dworzec — do prześmiałego, wielometrowego mostu. Tutaj, po jego rusztowaniu, jak po drabinie, spuszcza się wiara na most i — na ulice...

Miasto aż oczy rwie, wesołe, schludne, rozradowane gorącymi promieniami słońca, teraz pełne nieoczekiwanych turystów, podziwianych przez przechodniów. Bo coż to za wojsko takie młode, żywe, wesołe? Na każdej nowej uliczce ktoś zaczyna i pyta ciekawie:

„Leguny“?... Was ist das Leguny?... Legionäre?... polnische legionäre?... ach, so... Wiele tam godzin w owym Salzburgu gołubiła wiara po ulicach, kościołach i szynkach. Aż z panującej nad miastem góry św. Bernarda, gdzie się zapędziłem z kilkoma innymi, zobaczyliśmy, jak się żołnierz ~~gdzieś dołem śpieszy, goní, jakby mu pilno~~

było. Za chwilę zobaczyliśmy w dole grupkę żołnierzy, prowadzonych pod bagnetami przez żandarmów. Przecież się spostrzegli, zbierają turystów, pociąg musi dalej drogę swą odbywać.

Wieczorem skręciliśmy na Bawarię, na Lauter, Traunstein, Rosenheim. Tu znów żołnierz pochmurniał, bo się rozeszła wieść, że w Bawarii mają nas internować. Na szczęście, na dobry humor — nie zatrzymaliśmy się tam dłużej. Bawarię przejeżdżamy tylko dla skrócenia drogi, by dojechać do ponurej austriackiej twierdzy Kufstein. Tu — myśleliśmy — zamkną nas na ostatnie miesiące wojny...

Z ulgą i znów z niesłabnącą ciekawością — z Kufsteinu ruszyliśmy dalej. Jechaliśmy teraz przez kraj groźny i piękny, na długie godziny księżycowej nocy w milczeniu spoglądaliśmy na góry potężne, wokół nad podciąganiem się zamykające.

Przez Frazesfeste, przez góry i doliny, przez rwące i spienione rzeki, ponad przepaściami i urwiskami pociąg nas wiezie coraz dalej na południe, by przez wspaniałą dolinę Bozen — po pięciu nocach i pięciu dniach — zająć do Lavis pod Trydentem.

Tam otrzymujemy rozkaz opuszczenia wagonów z całym rynsztunkiem, tam kres nastąpił podróży. Jesteśmy na froncie włoskim...

Nie przeraził on jednak nas swoją bliskością. Nad wieczorem — po rozkwatowaniu się — otrzymujemy przepustki i rozsypujemy się po mieście. Ludność patrzy na nas z ciekawością, z niemałym zdziwieniem, takiego bowiem umundurowania tutaj nie widziano jeszcze. Zajadamy się winogronami, zapijamy tanim winem, tak, że wiara straciła wkrótce pewność w nogach, zyskując ją w głębie.

To też poweselało miasto... Tu i owdzie grzmia piosenki, w sklepikach, gdzie tylko ładna Włoszka — gwarno, rojno i wesoło, leguny na migi gadają i porozumiewają się świetnie. Wszędzie panuje legionowa piosenka, rozbrzmiewa młody śmiech.

Dwa dni bawiliśmy się w Lavis, trzeciego zaś dnia po przybyciu, 2 października, po zbiorce całego przybyłego transportu — następuje rozbijanie 5 pułku na drobne grupki, na luźne gromadki, z których każda ma inne miejsce przeznaczenia, inny przydział.

Gardło się ściska na ten widok. Nastrój ciężki, przyniatający. Po tylu latach wspólnej doli i niedoli i wspólnej służby, z pod własnego sztandaru — wdziac trzeba obcy, nienawistny, pogardzany mundur austriacki. Przy każdym oddziale pozostało je dwu lub trzech naszych oficerów, podają kamendy... odmierzają... Rozpada się pułk

5 „zuchowatych“, następują ostatnie pożegnania okrzyki rozchodzących się przyjaciół, starych towarzyszyw broni...

Karol wstał. Burknął mrukliwie, by Drymer mówił dalej i pocierać zaczął zapalki. Za chwilę jasny krąg światła objął stół. Z cichym brzękiem szkła Karol ustawiał szklanki, przygotował kolację. Czynił to w skupieniu, z surową zmarszczką między brwiami, z wargami zaciśniętymi. Głos Drymera przyciszał teraz, matował, blakł...

Z oddziałem 30 ludzi, prowadzonym przez por. Stachiewicza — znaleźliśmy się w Sanzeno, kamiennej, białej wsi, położonej w dolinie rzeki Val di Non.

Włoska ludność w pierwszych chwilach naszego tam pobytu — odnosiła się do nas z wielką nieufnością, nawet wrogo. Niechętnie udzielano informacji, niechętnie wogóle odpowiadano, kupić nie było można nic. Trwało to jednak niedługo. Włochów zainteresowało to wesołe, młode, inne jakieś wojsko. Gdyśmy tedy w miejscowości „albergo“ wszystko już wyjedli, dziesiątki garnców wina wypili, gdy śpiew chórakny, mało nie rozsądził zajazdu — coraz się koło nas robiło tłoczniej. Zaczęto się dopytywać, cośmy za żołnierze, dziwiono się odmiennym mundurom, młodości i życiu tak odmiennemu od ponurego nastroju c. k. żołnierzy austriackich. Dowiedzieli się wreszcie, że to legionści.

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

„Legionero — Tedesco“ — pyta któryś. — Co — psiakrew — klnie legun, Tedesco (Niemiec)? — porca Tedesco.

My w śmiech. Ale trudno opisać wrażenie jakie opanowało Włochów, gdy padło to „porca Tedesco“. Rozdziawiły się gęby, wybałuszyły oczy, a z serdecznej radości aż bili się po udach, a gdy się dowiedzieli, żeśmy Polacy — w jednej chwili otworzyły się ich serca.

Dni ciepłe, złote od zalewających nas promieni słonecznych, upływały na nieciekawych ćwiczeniach rekruckich przy 8 marszowej kompanii 33 p. p., znajdującej się w tej chwili w sanżeńskim obozie. Legun zapoznawał się teraz z austriackim gadaniem. Wybił „ajncyki“, wykonywał zwroty, maszerował, biegał, padał, robił bronią. Jak przedwojenny rekrut uczył się skoków i t. d. — wszystko na austriacką już komendę.

Wśród wiary legionowej było nas trzech królewaków, którzy broni przyjaźni nie chcieli i chodzili po placu wokoło żołnierzy jak kwoki przy kurczętach, nie chcąc ćwiczyć, nie uznając obcego dowództwa, niemieckiej komendy.

Z początku wściekał się jakiś austriacki „feldfibel“, ale musiał się z tym pogodzić, że my nie jesteśmy c. k. poddani.

W związku z tem nieposłuszeństwem wezwani zostaliśmy przed oblicze komendanta obozu, zdaje się Czecha. Zmarszczone czoło, złośliwie przymknięte oczy, mina sędziego.

— Przysięgaliście jego cesarsko-królewskiej mości, na wierność żołnierską? — pyta po niemiecku.

— Nie, odpowiadamy po polsku.

— Jakto, służyliście bez przysięgi? — zdziwił się niepomiernie.

— Przysięgaliśmy wprawdzie, ale na wierność królowi polskiemu, a króla u nas jeszcze niema. Jesteśmy poddanymi Królestwa Polskiego.

W Sanzeno, wśród marszowej kompanii 33 pułku, do której nas przydzielono — upłynęło kilka dni. 10 października kolei pożegnać się musieliśmy z legionowami mundurami. Po tem rozbili nas na jeszcze drobniejsze grupy, rozdzieleni, pomieszani z austriackimi „trepami“ mieli żołnierze legionowi odpokutować za swój bunt, za sprzeciwianie się Austrii. Ale nie udało się zabić „leguńskiego“ ducha, pierwszy ratunek przyniosła mu jego młoda, jego legionowa pieśń.

Znów ta pieśń. Tak. Bo trepy, przeważnie dziady po dobrej czterdziestce — idąc na ćwiczenia, słyszą jakby na ciężkie roboty. Legunowi natomiast, gdy rano zobaczył potężne w swym majestacie granie tyrolskie z przepysznymi ośnieżonymi zboczami, za którymi zaczynało już wschodzić słońce — mimo wszystkich udręk — piersi rozsadzała radość życia.

To też ponad austriackie plutony, złożone z różnorodnych żołnierzy — zrywała się żywiołowo polska, legionowa pieśń, nieodłączna towarzysząca smutków

naszych i radości, dni chwały i dni cierpienia. Pieśń, jakiej nie słyszeli tu jeszcze austriaccy żołnierze. I oni śpiewali — ale ich pieśń, to prawie zawołanie dziadów kościelnych. To też wyprętały się nawet ich strudzone już życiem grzbiety, silniej uderzały o kamienne drogi ciężkie buciska i szedł odmłodzony pieśnią oddział, nie ten sam już prawie, co zwykle, szedł na ćwiczenia jak z dziewczyną do piasów.

Zmianę nastroju spostrzegli austriaccy oficerowie:

„Halt“ — pada komenda już drugiego dnia wspólnego maszerowania.

— „Legioniści z szeregu wystąp“. Wystąpili.

— Tak świetnie śpiewacie i tak się doskonale pod takt pieśni idzie, że dobrze będzie, jak poprowadzicie.

— „Hurra!“... wrzeszczą chłopaki. „Zbiórka“ — pada polski rozkaz, „odlicz — czwórki w prawo zwrot — marsz...“

I oto w mig już oddział legionistów maszeruje na czele, wiara więc znów razem, ramię przy ramieniu... Tworzy teraz własny pluton i maszeruje jakby za najlepszych legionowych czasów, a pieśń grzmi potężnie, bo radość panuje w sercach, bo pieśń, ta legionowa pieśń, zatrumfowała nad austriacką złośliwością, zdołała rozbijać wiarę w samodzielny własny znów oddział zgrupować i złączyć.

I tu, w południowym Tyrolu, na czele austriackiej kompanii grzmi „Naprzód, drużyno strzelecka, sztandar do góry swój wznies!“...

Odtąd codziennie roznosiło ją echo aż hen, po niebotyczne szczyty Alp. Polskie melodie krzepiły targaną troskami ostatnich miesięcy duszę polskiego legionisty.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Z początku i nas kilku królewaków cho-
ziło na odległe tereny, na ćwiczenia. Nie
wiczmy jednak, zbijając baki po wer-
pach, na górskich obiazach. Jednak po
ilkakrotnem spotkaniu komendanta kom-
anji, otrzymaliśmy polecenie, aby zwozić
rzewo do kuchni z odległych górskich
ryrębów. Że jednak polecenie otrzymali-
my w języku niemieckim, więc nie czu-
śmy się zobowiązani do ścisłego zrozu-
nienia rozkazów. Pojechaliśmy, nęciła nas
owa okolica, piękna i dłuższa wycieczka.
Małe furki, zaprzęgnięte w olbrzymie
woły, posuwały się powoli pod górę, ale
em dłużej można było podziwiać piękno
gór, wawozów, rozpadlin, rwących, pienia-
jących się strumieni.

Gdy zajechaliśmy na miejsce — zabra-
aliśmy się zaraz do jakiejś małej spinaczki,
a furmani, sądząc z postawy naszej i przy-
woitych zgrabnych mundurów legiono-
wskich (kolega Popielnicki, ułan, wyglądał
wielu swych czerwonych rabatach prawie jak
generał), przypuszczali, żeśmy nie som-
takie proste leguny a zapewne jakieś szar-
że, woleli więc na wszelki wypadek nie za-
koczepiać, nie śmieli więc nawet wspomnieć,
aby drzewo ładować, a nawet gdyśmy zbłą-
dzili i nieprędko wrócili — czekali cier-
pliwie przy ognisku, przypiekając kukury-
dzą, aż do wieczoru.

Stratę czasu nadrabialiśmy potem ha-
mulcami: gdzie trzeba było hamować —

odkręcailiśmy hamulce aż do ostatniego
kręgu. Jazda więc zgóry wąską serpenty-
ną nad brzegiem wawozu i rozpadlin była
wprost niesamowita. Wozy leżały niemal
wołom na zadach, to też te ciężkie stworze-
nia wyciągały nogi ile im sił stało, zmienia-
jąc się niemal w cugowce. Woźnice dostali
wprost kręčka, nie wiedząc, jak sobie z
rozszoszczonymi wołami poradzić, ode-
technawszy z ulgą, gdy niebezpieczny zjazd
się skończył. Powiedzieli tylko, że za nic już
z nami nie pojedą więcej. Bali się o swe
życie.

Z eskapady tej jednak tylko oni wyszli
cało. Woły zaraz poszły na opatrunek do
weterynarza, poobstukiwane, rozstrzęsione
wozy do reperacji, my zaś — do raportu.

Przedtem musieliśmy wysłuchać straszli-
wych wymyślań od „zugsführera“. Roz-
wściekł się jak stara wiedźma, wymyślając
po niemiecku, pytając od czasu do czasu
niby po polsku: „rozumyte“? — Odpowiada-
liśmy, że nic nie rozumiemy, co do ostatniej
pasji doprowadzało biednego Niemca. Wy-
szedł już tak z równowagi, że nie tylko gro-
ził, ale czuło się to, że ma szczerzy zamiar
groźbę wykonać. Zmieniliśmy jednak posta-
wę „bacność“ na „spocznij“, a wiara, któ-
ra w międzyczasie na krzyki przybyła, tak
się wokoło nas szczerlnie zacisnęła, że Nie-
mieć uspokoił się tak nagle, jak nagle wy-
buchnął i odprawił nas na kwatere.

Przy raporcie następnego dnia kome-

dant obozu wymyślał i groził, aleśmy wy-
próbowanym zwyczajem nic z austriackie-
go gadania nie rozumieli. Gdy jednak ozna-
mił: „sie fressen, sie müssen hier auch ar-
beiten“ — nie można było się powstrzymać
od prośby, aby puszczone nas do kraju,
gdzie „żarcia mamy własnego poddostat-
kiem — żywimy przecież Austrię i Niem-
cy“. — Tym razem on nic nie zrozumiał..

*

Nastrój się ożywił, ostatnie fragmenty
przez Drymera opowiedziane — przypom-
niały przecie owo „żarcie, którego“ mamy
poddostatkiem“. Karol się zerwał, zawo-
łał — pas, przestań, bo i my głodni i za-
krztał się żywo. Zawiązała się wnet roz-
mowa, jak tu jest w kraju, jak ciężko i źle
jest w miastach — ale mimo wesołych pra-
wie już słów Drymera — czuło się ciężar
niezmożny na piersiach. Drymer się wyrwał,
ale oni, oni tam tkwią, rzuceni w świat, sa-
motni, odcięci od kraju, opuszczeni, mimo
wszystko — jakże strasznie zgryzieni. To
też nie bardzo rozmowa się kleiła, pilili
wszyscy, by Władek mówił dalej. Ledwieś-
my tedy podjedli nieco sera, pulenty i Ka-
rolowych wędlin — Drymer zaczął dalej:

W obozie ćwiczebnym panował głód.
Żywiono żołnierzy strasznie. Zupa — to
woda z odrobiną rozgotowanych kartofli,
lub zaprawiona paru łyżkami kukurydzanej
maki, mięso — kawałki ochłapów i kości.

Wiara tedy legunowa, jako że to element
energiczny, rzutki, nie dający sobie w ka-
szę dmuchać, postarała się stosunkom tym
zaradzić. Już przedtem zresztą Szczербiec,
Drożdż, Bełza, Dziewoniński, Wójcik, Krzy-
wonos i inni, jeżdżąc po produkty do są-
siedniej miejscowości Cles czy Romeno,
zainteresowali się sprawą przydziałów i
stwierdzili, że sucharów i rumu, winą, pa-

pierosów i mięsa wydawano na głowę zna-
cznie więcej, niż żołnierz w obozie otrzy-
mywał. Rozpoczęli więc odpowiednią agi-
tację.

Tymczasem z głodem zapoznawali się
już wszyscy. Chłopcy, dopóki posiadali
jeszcze pieniądze, dawali sobie jakoś radę,
potem zmuszeni byli sprzedawać różne
drobiazgi lub korzystać ze znajomości
wśród Włochów, które nawet stokroć lepiej
się przydawały, niż posiadane pieniądze, bo
i za pieniądze niewiele można było kupić.
Produktów spożywczych bowiem i kantyna
w sąsiednim mieście nie posiadała, a jeśli
były — to nie na żołnierskie żołądki i kie-
szenie. Ratowała niemal że od głodowej
śmierci — słodka tyrolska rzepa, którą się
z pół wykładało, oraz włoska pulenta, któ-
rej jednak nie było zbyt wiele, bo ludność
była tam biedna, wyniszczona rekwizycjami.

Głodował tedy cierpliwie austriacki land-
szurmista, z coraz zaś mniejszą cierpliwo-
ścią legionista, a przypadające dla nich pro-
dukty po drodze do ich pustych żołądków
straszliwie malały, stając się wprost mikro-
skopijskimi, gdy wreszcie żołądków sięgały.
Ginęło to wszystko u różnych szyszek w
samem już Sanzeno. Ktoś znaczny sucharki
posyłał pocztą swej żonie, ktoś inny lubił
bardzo rum i wypijał go dużo, mięsem ży-
wiono obficie protegowanych, papierosy, ka-
wę, herbatę wymieniali mniejsze już figury
na włoskie przysmaki...

O tem wszystkim, nie ukrywając nazwisk
— chłopcy powiadomili ogół żołnierzy, przy-
gotowując zdecydowaną akcję. Leguny tak
długo łamali obawy austriackich dziadów,
aż wreszcie wszyscy jednomyślnie postan-
wili się zbuntować.

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Wybrano dzień i protest nastąpił na ćwiczeniach. Na komendę „Hab'acht“ — wszyscy orzekli, skandując: „Wir werden nicht exerzieren. Wir sind hungrig“... Po prostu padli. Oficerowie osłupieli. Zaczęli krzyczeć, biegać, starali się musieć do pojedyńczego groźbą, następnie perswazją. Ale posłuszeństwo już gdzieś uleciało. Żołnierze leżeli na ziemi, nie chcąc ćwiczyć, zaciąwszy się w uporze.

Nolens - volens, szarża musiała ustąpić. Żołnierze wrócili w końcu na kwatery, nie ćwicząc. Bunt się udał, namowy i głód przemogły obawy nawet tych biernych, wrożliwych i przyzwyczajonych do bezwzględnej posłusznosci ludzi.

Był tego dnia w obozie wielki łarmider, dochodzenia, ale żołnierzom ugotowano specjalny obiad, wydano dodatkowe pożywienie. Pożywienie od tej pory poprawiło się znacznie, myśli zaś stali się autorytetem. Od tej chwili ze wszystkimi bojami obozowymi zwracano się do legjonistów, którzy opanowali całkowicie oddział. By robotą szła, by do reszty opanować austriackich trepów — zorganizowało się głośne czytanie gazet, a czego w piśmie żołnierze nie mogli zrozumieć

— wyjaśniała im wiara legumowa, do której już z pełnym zaufaniem zwracano się we wszystkich sprawach. A myśleć się specjalizowali w czytaniu i tłumaczeniu wszystkiego, co było między wierszami, najlepiej czytając białe plamy gazet, miejsca skreślone przez cenzurę. Te białe bowiem plamy — to była niewyczerpana skarbnica wiadomości, wymagowanych przez legunów. Dziś więc — plamy białe — to demonstracja głodujących matek, żon i dzieci, które proszą cesarza przeciw tylko o pokój i kawałek chleba dla wygłodzonych rzesz. Jutro — to strzelanina uliczna do bezbronnych. To znów strajki chorych, wynędniałych robotników, starców, kalek i ponad swe siły pracujących robotnic, dziesiątkowanych głodem i gruźlicą. Innym znów razem to propozycja o zawieszenie broni i upór niemieckich junkrów, którym się śni jeszcze podbój świata — tak wybieliły plachty dzienników. A tutaj klęski na zachodnim froncie, niewola i śmierć dziesiątek, setek tysięcy co najprędniejszych wojsk niemieckich, rozbijających się o męstwo wojsk francuskich i murowane Verdun. To znów klęski na wschodnim froncie, straszliwe, nieustanne walki

nad Isonzo i śmierć dziesiątków tysięcy niewinnych, bezużytecznie ginących za obcą, nie swoją przecież sprawę narodów słowiańskich „za Austrii skrawek nędzy“.

A tu skonfiskowali cały artykuł... Ta biała plama, to gaz. O tak — to nowe wynalazki koalicji. Będą teraz truć całymi masami, ludzie będą ginęli od nich w dzień i w nocy, jak muchy od zimna. To odwet Francuzów za gazy niemieckie...

Trudno byłoby nam prowadzić taką propagandę, gdyby nie informacje, przesyłane z kraju. Wszystkie ważniejsze wypadki były nam znane, przysyłane często w formie anegdot, rodzinnych sporów, wypadków, albo i wprost — bez jakiegokolwiek liczenia się z cenzurą, która widocznie już bardzo przepracowana, była mało czujna. Wie dzieliśmy zatem i o załamaniach, o klęskach, o niefortunnych działaniach państw centralnych, zbliżających się ku katastrofie wyczerpania.

Gdy poczta przyniosła jakąś nowinę ważniejszą — rozpoczynały się zaraz zebrania, dyskusje. Gdy wieści dotyczyły naszego kraju — jakże często nastroj był przyniatający, gdy dowiadaliśmy się na przykład o stosunkach, panujących w obozie szczypiorniańskim, o posunięciach ugodowców, kiedy indziej znów pełen nadziei, gdy wieści dotyczyły zmiany nastrojów społeczeństwa, gdy widziało się, jak coraz bardziej rośnie w narodzie świadomość celu, który musi być osiągnięty.

(D. c. n.)

Dwaj żandarmi biegną, są już blisko. Kluczymy między wagonami, by dopaść do światełka w budce kolejarza. Wpadamy tam. Krótkie porozumienie. Kolejarz zamyka budę na klucz, sam zaś ze światłem wychodzi naprzeciw biegnących żandarmów. Słyszymy pytanie żandarmów i jego odpowiedź: „Tak... widziałem. Dopadli tych tam wagonów. Z drugiej strony zeskoczyli i zdaje się polecili do tamtych tam płotów...“

Żandarmi pobiegli. Siedzimy w budzie — zdawało się godziny całe. Udało się, czy też nie. Po pewnym czasie zgrzytnął klucz, błysnęło światło. „Za mną — polecili w drugą stronę“. — Szczęśliwie. Idziemy, a biją nam serca. Kolejarz podprowadził pod płoty, znajdujące się na tyłach stacji. Ścisłamy mu mocno i z wdzięcznością te polskie, spracowane dłonie. Za cieniem wagonów teraz do miasta. Z biciem serca poruszamy się po plantach, biegniemy niemal przez Florjańską na Rynek i... koniec. Jesteśmy między wami!...

Lampa poczęła przygasać, za chwilę zgasła. Długo siedzieliśmy jeszcze w ciemności, milcząc, zadumani, zasłuchani jeszcze w słowa Władka Drymera. Dołeciał wreszcie już w długiej ciszy nocy — daleki głos marjackiego hejnału.

Wyszliśmy na puste ulice, na których głuchym echem dudnił ociężały krok wojskowych, austriackich patroli.

(D. c. n.)

Na przełomie światowej wojny

(1917 — 1918)

Nie ograniczała się przytem wiara tylko żołnierzy. Naszą opieką otaczaliśmy również i ludność cywilną, podtrzymując w niej ducha oporu, wrogości. Ludność ta, obyta przez wiarę legionową wstępnym iem: beztróską pieśnią, wesołością, a zedewszystkiem kłatwą siarczystą na wszystko, co niemieckie — darzyła legionistów swoją sympatją, przyjmując od niej iętnie wszelkie informacje, dotyczące wojny i stosunków politycznych.

My zaś, królewiaci, wśród wielu miejscowych Włochów zdobyliśmy sobie szczególną sympatję, pisząc listy po rosyjsku do ich krewnych, jeńców w Rosji. Jakże często przy pogwarkach nawet — naogół biedni gospodarze częstowali legionistów pulentą, serem tyrolskim, jabłkami i — oczywiście — siorem wina, Austriakom zaś odmawiając nawet sprzedaży tych rzeczy.

Ale też staraliśmy się wnosić do ich czarych od dymu izb i maltretowanych administracyjnych szyszan i rekwiizyjami mnych dusz nadzieje, radość jutrzejszego dnia, który zarówno dla nas, jak i dla ich musiał być przecież lepszy. Na rumowiskach bowiem naszych wspólnych ciemizłów musi kiedyś wreszcie odżyć wolność narodów. A kto wie — może już niedługo będą oni mieli możność połączenia się ze swą włoską ojczyzną, bo wytrzymałość fron-

tu zaczyna już słabnąć.

Te nić sympatji, nawiązywane z miejscową i okoliczną ludnością — to nie tylko stworzenie sobie znośniejszych warunków egzystencji na wygnaniu, ale i nowe źródło, utrwalające odporność, bodziec do wytrwania. Ci proszą bowiem ludzie mocno tu musieli zaciskać swe twarde od kamienistej gleby dłonie, zachowując w głębi serca głuchość dla ciemieżców nienawiść.

Tymczasem miesięczne zatrzymanie nas, królewaków, z Tyrolu, miało się ku końcowi. Na początku lutego 1918 roku przyszła ponoć odpowiedź z A. O. K., aby nas wysłać do dyspozycji Polskiego Korpusu Posiłkowego. Koledzy przez stosunki z kancelarją dowiadują się, że jako „politisch verdächtig“ mamy to w dokumentach specjalnie zaznaczone. Nie wolno więc nam za trzymywać się gdziekolwiek w drodze do korpusu. W razie zaś jakiegoś zbłądzenia — lepiej z żandarmerją znajomości nie zawierać.

Tego rodzaju koleżeńską instrukcję wraz z dokumentami otrzymujemy z kancelarji 7 lutego z poleceniem stawienia się w Polskim Korpusie Posiłkowym w Przemyślu. Nie mając jednak zamiaru tam się zgłaszać — od por. Styka bierzemy meldunek o sytuacji oddziału do płk. Rydza Śmigłego w Krakowie i w drogę. Ciężkie teraz nasta-

ły chwile rozstania, gdy po raz ostatni ścisnęło się łapska drogich współtowarzyszów tyłu wspólnie przeżytych chwil radości i smutku, wiary i zawodów. Pozostają niewiadomo na jak długo. Niewiadomo na jaki odcinek frontu włoskiego zawloką ich rozkazy, kto z nich jeszcze wróci, czyje kości zostaną na dalekim obcym froncie. Jednak trzeba odjechać do kraju, na nową pracę...

Przez San Michele — Bozen — Bruzen — Insbruck — Salzburg — Wiedeń prowadzi nasza droga do Krakowa. Od ziemi polskiej jesteśmy już pod opieką świetnie zorganizowanych kolejarzy. Oni wiedzą, że przejeżdżający legionści nie lubią spotykać żandarmerji, bo albo nie są w porządku z datami na dokumentach, albo jadą w niewłaściwą stronę, albo też wręcz są bez dokumentów. O każdej więc rewizji dokumentów, jako, że powinniśmy już być na miejscu podróży, natychmiast wiemy, prześiadając się z jednego wagonu do drugiego, gdy zachodzi tego potrzeba.

Tu do Krakowa zajechaliśmy wieczorem, ostatnim wagonem, aby wyskoczyć zdaleka od oświetlonej stacji. Gdy pociąg zwoinił — wyskoczyliśmy. Szczęśliwie — nie było żywej duszy. Ale ciemności, których pragneliśmy, szyskowały niespodziankę. Bo oto Popiełnicki zawadził o biegnącą wzdłuż torów drutę, które odezwały się przeraźliwym jękiem. „Halt — wer da,“... rozlega się głos zdaleka i ciężkie, podkute buciska walą w naszą stronę. Psiakrew... w ostatniej chwili wpaść?... To pech..

Biegniemy między szeregi stojących wagonów towarowych. Zamierzamy się tutaj skryć. Wyładowane plecaki utrudniają

wszakże swobodę ruchów, a rzucić przecież szkoda, bo pełne tyrolskiego sera i pulenty.

Dwaj żandarmi biegną, są już blisko. Kłuczymy między wagonami, by dopaść do światełka w budce kolejarza. Wpadamy tam. Krótkie porozumienie. Kolejarz zamyka budę na klucz, sam zaś ze światłem wychodzi naprzeciw biegnących żandarmerji. Słyszymy pytanie żandarmerji i jego odpowiedź: „Tak... widziałem. Dopadli tych tam wagonów. Z drugiej strony zeskoczyli i zdaje się polecili do tamtych tam płotów...“

Żandarmi pobiegli. Siedzimy w budzie — zdawało się godziny całe. Udało się, czy też nie. Po pewnym czasie zgrzytnął klucz, błysnęło światło. „Za mną — polecili w drugą stronę“. — Szczęśliwie. Idziemy, a biją nam serca. Kolejarz doprowadził pod płoty, znajdujące się na tyłach stacji. Ścisnęliśmy mu mocno i z wdzięcznością te polskie, spracowane dłonie. Za cieniem wagonów teraz do miasta. Z biciem serca poruszamy się po plantach, biegniemy niemal przez Florjańską na Rynek i... koniec. Jesteśmy między wami!...

Lampa poczęła przygasać, za chwilę zgasła. Długo siedzieliśmy jeszcze w ciemności, milcząc, zadumani, zasłuchani jeszcze w słowa Władka Drymera. Doleciał wreszcie już w długiej ciszy nocy — daleki głos mariackiego hejnału.

Wyszliśmy na puste ulice, na których głuchym echem dudnił ociężały krok wojskowych, austriackich patroli.

(D. c. n.).

